Nr. 41. Warszawa, dnia 13 (1) Października 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WALKI WĘGIERSKIE.

W Węgrzech zakotłowało się znowu! Wekerle, obejmując ster rządów, względem obozu liberalnego związał się obietnicą, że podejmie reformy, które ojczyznie nadadzą pozory, zgodniejsze z duchem czasu. Ziemie korony św. Stefana obfitują bowiem w pozostałości średniowieczne, chwasty historyczne plenią się tam bujnie i zagłuszają kiełki kultury nowoczesnej. Mimo konstytucyi są one krajem, w którym potęga arystokracyi rodowej znajduje się jeszcze w całej swojej mocy, dostojnicy zaś kościoła są niemal udzielnymi książątkami. A pomiędzy zamierzonemi reformami najcelniejszą była sprawa uregulowania stosunków pomiędzy państwem a kościołem. Życie wyprzedziło na tem polu ustawę i stworzyło sytuacye, faktycznie pozbawione opieki prawa i nawet potępiane przez kodeks, tolerowane przecie z konieczności i coraz obfitsze. Szło zaś o mnóstwo rzeczy. Opinia publiczna kół miejskich domagała się oddawna obowiązkowych ślubów cywilnych, któreby, nie podkopując bynajmniej religijności, prawo kanoniczne zastąpiły kodeksem cywilnym i sądy konsystoryalne przez jurysdykcyę państwową. Z powyższą sprawą wiąże się inna, dotycząca wyznania dzieci, zrodzonych w małżeństwie mieszanem. Dotychczasowe prawo kanoniczne głosiło, że gdy jeden z małżonków wyznaje zasady kościoła katolickiego, potomstwo musi być bezwarunkowo wychowywane w tej religii. Wypracowany przez ministeryum projekt zniósł ów przymus i rodzicom pozostawia wybór dowolny. W ciągu dalszym postanowiono równouprawnić wszystkie wyznania — przepis, który w całej swojej mocy prawnej istnieje w przedlitawskiej połowie monarchii Habsburskiej od roku 1868, za Litawą zaś dopiero obecnie wypłynął na porządek dzienny. Wreszcie nie cofnięto się przed ostatnią konsekwencyą— odebraniem duchowieństwu prowadzenia aktów stanu cywilnego i złożeniem tej powinności w ręce urzędników gminnych i municypalnych. Zdaje się, w tym drobnym na pozór szczególiku spoczywa rdzeń zasadniczy reform Wekerlego. Przysłowie głosi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a zatem nietylko prosto, lecz też okolne. W Węgrzech istnieje pewna sprawa, z którą splotły się i zrosły poważne interesy realne. Jest to uporządkowanie administracyi gminnej. Samorząd zalitawski nie jest to owa decentralizacya nowoczesna, która odpowiada potrzebom chwili dzisiejszej, ale średniowieczna, oddająca władzę do rąk obywatelstwa ziemskiego, które tak się rządzi, jak szara gęś z bajki. Nieładu tam jest co niemiara, samowoli i sprzedajności jeszcze więcej. A ta rudera prawna, pełna zaułków i wykrętów, porosła odpowiednim bluszczem — mnóstwo interesów i interesików zaściankowych pleni się w bezrządzie municypalnym. Każdy z mężów stanu cofał się przed uprzątnięciem tej starzyzny, mimo najlepszych chęci. Otóż reformy kościelne są ową drogą okolną, która, koniec końcem, doprowadzi do innej — reformy municypalnej. Pozbawiwszy duchowieństwo godności urzędników stanu cywilnego, odrazu stwarza konieczność zorganizowania odpowiednich urzędów municypalnych, które, bez korzeni w przeszłości, zostaną odrazu ukształtowane według wymagań chwili i wzorów nowożytnych. A jak dokoła drobnego kryształiku osadza się z roztworu nowa komórka mineralna po komórce, tak z tego zarodka wywiązałaby się z biegiem czasu nowożytna instytucya gminna. Reformy kościelne, doniosłe same z siebie, stają się jeszcze doniośleJszemi ze względu na takie swoje następstwa. I to właśnie nam tłomaczy, czemu ludzie roznamiętniają się tak bardzo o śluby cywilne i kwestye z niemi związane. Mężowie stanu równie wiedzą dobrze, że z hasłami wolności wyznaniowej niedaleko zajdą, chwila bowiem dzisiejsza obraca się około zagadnień noża i widelca — jak dowcipnie wyrzekł ktoś zpośród dawnych chartystów, i na przód wysunęła sprawę żołądka. Reformy zamierzone są przedewszystkiem środkiem do złamania feodalizmu. Dlatego to wierzące żywioły miejskie, które na wiecach rozpoczynają od zaznaczenia swojej prawomyślności katolickiej, idą przecież w ordynku liberalnym i gotowe do upadłego walczyć w obronie ślubów cywilnych, wolności obrządku itd.

Wczesną wiosną rozstrzygały się losy ślubów cywilnych. Izba niższa przyjęła projekt rządowy olbrzymią większością, magnaci zaś odrzucili go stanowczo. Mieszczaństwo węgierskie starło się wtedy ze szlachtą i zawierucha polityczna wstrząsnęła całym krajem, aż wreszcie pierwsze uciekło się do środka wprawdzie nie zbyt konstytucyjnego, ale skutecznego i wprost znagliło monarchę do nakazania magnatom głosowania zgodnie z mieszczaństwem. Franciszek Józef na ołtarzu interesów swego domu poświęcił swoje przekonania religijne i sympatye społeczne. Izba magnatów zatwierdziła prawo o ślubach mizerną większością czterech głosów. Inne wnioski odłożono do pory powakacyjnej. Wczasy letnie zeszły na sejmikowaniu w zamkach i rezydencyach biskupich, ale opór, raz złamany, jakoś niemógł dźwignąć się ze swojej niemocy. Wreszcie sejm zebrał się znowu. Wniosek o tolerancyi powszechnej znalazł się w Izbie magnatów i w odczytaniu ogólnem został zatwierdzony większością jednego głosu. Sytuacya stała się naprężoną. Wreszcie struna pękła, kiedy po ogólnem czytaniu rozpoczęły się obrady szczegółowe. Wszystkie uprzedzenia rasowe ożyły, gdy arystokracya rodowa stanęła w obliczu jednej

z konsekwencyi wniosku rządowego. Jeżeli bowiem ma być ogłoszona zupełna swoboda wyznania, zatem obrządek Mojżeszowy nie tylko będzie równouprawniony z innymi, lecz nadto chrześcianin będzie miał prawo przyjmować judaizm. Magnaci, nawet ci, którzy przystali na śluby cywilne i tolerancyę, nie zdołali się pogodzić z myślą, ażeby ktoś z nieobrzezanego stawał się obrzezanym. Projekt rządowy przegłosowano.

A zatem historya wiosenna powtórzyła się. Wekerle zamierza nie cofnąć się przed żadnym środkiem, byleby dopiąć swego. Mieszczaństwo węgierskie, lepiej powiedzieć może, wszystkie żywioły miejskie, bo też odłamy radykalne, stoją po jego stronie. Wezmą się one niebawem za bary z feodalizmem magnackim. Namiętności, które nieco ucichły, znowu wybuchną z całą swoją mocą. Szlachta wie, że przegrana w danej sprawie jest przegraną klasową—rzuciła ona stawkę, od której zależy jej byt polityczny.

Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na dalekim wschodzie tocząca się wojna zrazu tylko zajmowała państwa europejskie, które przyglądały się walczącym, jak ciekawi grze szachistów; stopniowo jednak, gdy ta krwawa gra rozpaliła się silnie, gdy już łatwo można przewidzieć, która strona będzie „zamatowaną," widzów również gorączka ogarnęła. Zaczynają oni obliczać możliwe skutki wojny, jej wpływ na bieg spraw politycznych i ekonomicznych. I oto dziś interesowani, broniący zrazu pojedynczo mienia i życia swych rodaków na terytoryach walki i podniety umysłów masy ludności azyatyckiej, dzisiaj zaczynają działać gromadnie nietylko w sferach dyplomatycznych. Anglia i Niemcy stosunkowo największą liczbę swych obywateli mają do obrony; niemniej i Francya jest zainteresowaną. To też coraz więcej statków wojennych odpływa z Europy na morza chińskie. Według ostatnich wiadomości, pewnej liczbie pancerników i krzyżowców w Marsylii kazano być w pogotowiu. Flota angielska, stojąca na straży nieopodal brzegów chińskich, wkrótce będzie się składała z 21 statków, Francya ma 8 (4 odpływają z Tulonu), marynarka ruska w porcie władywostockim składa się z 10 statków, oprócz tego 4 odpływają z Kronsztadu. Niemcy, Stany Zjednoczone, Hiszpania również wysłały swe siły zbrojne na wody wschodnio-azyatyckie. Tak więc wszystkie, w razie połączenia ku wspólnej obronie interesów, mogą przedstawiać ogromną flotę, która łatwo by poparła orężem żądania państw zainteresowanych. Tymczasem przewaga Japonii z każdym dniem wzrasta. Wojska jej, pod wodzą marszałka Yamagaty, przekroczyły rzekę Yalu i weszły do Mandżuryi. Jakkolwiek może większość państw interesowanych w głębi zachowuje sympatyę dla Japonii, jednakże jej zwycięztwa nad „kolosem o glinianych nogach," według pogardliwego przezwiska prasy — niepokoją Europę, gdyż w miarę upadku ducha i pogromu Chin, jątrzą się masy, śród których powstają żywioły, skłonne do rewolucyi; ta zaś nie oszczędzi europejczyków. (Już w Czifu, letniej rezydencyi cesarza, podobno wybuchły zaburzenia). Być może, iż pod wpływem takich przewidywań Rosya, Anglia, Francya i Włochy wystosowały noty do Pekinu, żądające pojednania z Japonią. Sam rząd chiński skłonny jest do tego, a nawet pragnie pomocy, co już stwierdziły przed paru dniami w Londynie narady posła chińskiego, który prosił o wdanie się zbiorowe Anglii, Francyi i Rosyi.

Z bezpieczeństwem europejczyków połączone są losy handlu w głównych ogniskach wschodnich, niepoślednią odgrywających rolę w międzynarodowem życiu ekonomicznem. Jest to więc niemały bodziec do przedsięwzięcia środków, tłumiących zbyt silnie już rozpłomienioną wojnę.

Anglia szczerze dba o swoje interesy materyalne w związku z Madagaskarem, któremu Francya grozi blokadą i wojną za naruszenie przez howańczyków umowy z dnia 17 października 1885 r., uznającej protektorat francuski nad wyspą. Ale tutaj sąsiadka wyraźnie zaprotestować nie może, sama bowiem uznała tę umowę. Nie zniechęci to jej wszakże do szukania ubocznych dróg nacisku dyplomatycznego, zwłaszcza że zaognienie stosunków powstało jeszcze z innych powikłań, w których ważnym czynnikiem jest także Egipt i Syam. Taki stan rzeczy stworzył jednocześnie dwie narady gabinetowe: jedną w Londynie, drugą w Paryżu. Przy tej okazyi dzienniki angielskie przypomniały ministrom o powściągliwości i rozwadze. Prasa francuska oskarża anglików o dowożenie howańczykom broni i amunicyi tudzież o intrygowanie ciągłe przeciwko rezydentowi francuskiemu i jego współobywatelom. To zdaje się także jedna z dróg ubocznych, ale już przekraczających granice dyplomacyi.

Skąd wynika zatarg między Madagaskarem a Francyą i jakie są żądania tej ostatniej? Zniecierpliwiło ją matactwo rządu howańskiego, który udaje, że nie rozumie umowy, pisanej dla niego w języku obcym. Rzecz pospolita, chcąc ten traktat wyłożyć jasno, wysyła na wyspę swego pełnomocnika nadzwyczajnego, który ma wymódz bezwzględne przyznanie prawa wglądania do interesów tamtejszych w bardzo szerokim zakresie. Mianowicie Francya żąda, ażeby howańczycy zobowiązali się do szanowania własności ziemi posiadanej przez osadników, tudzież aby umowy, dotyczące dzierżawy wieczystej, nie podlegały żadnym ograniczeniom; wszystkie akty kupna i sprzedaży będą uwolnione od nadzoru rządu tamtejszego. Prócz tego tubylcy nie powinni sprzeciwiać się budowaniu szos, kolei żelaznych, regulacyi rzek, posterunków wojennych, kontrolowaniu finansów wyspy. Wreszcie urzędnicy i oficerowie jedynie pochodzenia francuskiego powinni otrzymać przywilej do obejmowania posad w organizacyi państwowej Madagaskaru. Francuzi, jak widzimy, dążą do niepodzielnego zawładnięcia bardzo ważnym posterunkiem, na co Anglia oczywiście nie może patrzeć obojętnie i nic też dziwnego, że sprawa ta nie mniej ją zajmuje, niż wojna chińsko-japońska.

Wobec skupienia uwagi świata polity-

---

1)

Piotr Loti.

ŻYCIE DWÓCH KOTEK.

Z pewnem uczuciem nieskończenie smutnego niepokoju widywałem nieraz duszę zwierząt, wyzierającą z głębi ich oczu; przejawiała się nagle w jednem spojrzeniu i czule, z błaganiem lub trwogą, duszy mojej szukała... Widywałem duszę kota, psa, małpy — przez chwilę tak boleści pełną, jak dusza ludzka. I więcej może jeszcze miewałem litości dla tych dusz zwierzęcych, niżli braci moich, bo mowy nie znają i pogrążone są w półmroku, z którego wyjścia dla nich nie ma — bo nadto więcej są maluczkie i bardziej wzgardzone.

. . . .

Dwie kotki, których dzieje opowiedzieć zamierzam, łączą się we wspomnieniu mojem z kilku względnie szczęśliwemi latami życia. O, Boże Ty mój, blizkie to lata — jeśli miarę stanowi kalendarz, a jednak dalekie, zmiatane coraz to straszliwszą szybkością czasu i wychylające się z przeszłości w blasku ostatnich niemal promieni zorzy, ostatnich różowych świateł poranku i początku. Tak odbijają od szarej teraźniejszości — tak spiesznie biegną dni nasze w mrok, tak nagle noc nas opada.

. . . .

Wybaczyć mi proszę, że dla obu jedną mam nazwę: „Moumoutte." Raz dlatego, że jałową mam wyobraźnię, gdy idzie o ochrzczenie kotek; zwę je zawsze „Moumoutte," a małe niezmienie: Mimi. Powtóre zaś i dlatego jeszcze, że nie ma w mniemaniu mojem nazw odpowiednich, charakterystyczniejszych nad te dwie prześliczne: Mimi i Moumoutte.

Zachowam tedy dla biednych, małych bohaterek mojej opowieści imiona, które nosiły za życia. A więc: Biała Moumoutte i Szara albo Chińska Moumoutte.

. . . .

Porządkiem wieku winienem przedstawić najpierw Białą Moumoutte.

Było to może przed dziesięciu laty, kiedy w pewien radosny, a w pamięci mojej wiecznie żywy wieczór zobaczyłem ją po raz pierwszy. Był to wieczór zimowy; wracałem znowu do ogniska rodzinnego po nie wiem już której podróży na Wschód; zawitałem był do domu przed kilku niedłwie chwilami i grzałem się przed płomieniem drzazg, pomiędzy mamą i ciotką Klarą, które siedziały u dwóch krawędzi kominka. Nagle coś wpadło, skacząc jak piłka i szalonym wirem zatoczyło się — bieluchno, śnieżyste na ciemno-czerwonem tle kobierca.

— Prawda — rzekła ciotka Klara — toś ty nie wiedział?.. Otóż, przedstawiam ci ją, to nasza nowa „Moumoutte." Co robić, zdecydowałyśmy się na inną; myszka zaszła aż tam, do naszego małego saloniku!

Przez dość długi czas trwało u nas bezkrólewie — epoka bez kotek, a to z powodu żałoby po pewnej kotce, przywiezionej przeze mnie z pierwszej mojej podróży z Senegalu, którąśmy przez dwa lata bałwochwalczo kochali, a która w pewien czerwcowy poranek, po krótkiej chorobie, wyzionęła cudzoziemską swoją duszyczkę, patrząc na mnie z wyrazem najserdeczniejszego błagania. Pod drzewem, na podwórku, sam ją pochowałem.

Nowej pani chciałem się przyjrzeć z blizka, podniosłem więc piękny kłębek futrzany, który białością tak wyraźnie odbijał od czerwonego dywanu. Rozumie się, żem ją wziął w obie ręce, z tymi szczególnymi względami, o jakich nie zapominam nigdy wobec kotów, a jakie natychmiast wywołują w nich myśl: oto człowiek, który nas rozumie, wie, jak się do nas brać należy, jest z liczby naszych przyjaciół, a więc pieszczoty jego przyjmować można życzliwie.

Twarzyczka nowej Moumoutte bardzo była ujmująca: oczy płomienne, młode, dziecinne prawie, nosek mały o różowym koniuszczku — i nic więcej. Reszta ginęła w puchach angory, jedwabistej, czyściutkiej, ciepłej, miłej w zapachu i rozkosznej w dotknięciu ust i palców. Czupryna i centki zupełnie takie same, jak u tamtej,

cznego po za granicami Europy, wszelkie inne kwestye w ubiegłym tygodniu, z wyjątkiem wyznaniowej w Węgrzech, rozproszyły się na drobne kropelki, których nawet prasa nie ma ochoty za pomocą mydła reporterskiego rozdymać do średniej wielkości baniek. Wybory do storthingu norweskiego nie dają jeszcze obecnie rezultatów, które mogłyby wpłynąć na znaczną zmianę stosunków skandynawskich. W delegacyi przedlitawskiej toczyły się gorące spory o administracyę w Bośnii, bez żadnych wyników konkretnych. Dzienniki francuskie rozpisują się szeroko o wyborze na senatora Waldeck-Rousseau'a, byłego ministra za czasów Gambetty. Stąd przenikliwi politycy przypuszczają, że ponownie wzniesiony działacz, będzie spadkobiercą Dupuy'a i stanie się ważną sprężyną w machineryi politycznej, pomimo, że on sam z góry zastrzega, iż nie zamierza sięgać po wybitną rolę, lecz chce być tylko pożytecznym.

Petit Journal dał swym czytelnikom artykuł sensacyjny, w którym dowodzi, że Niemcy niby żywią dla Francyi uczucia pokojowe dla nieposzlaki, aby w ciągu lat kilku przekształcić swą armię z myślą zagłady rzeczypospolitej.

Portugalia w wielkim kłopocie. W Afryce południowej krajowcy, zamieszkujący jej posiadłości, stanęli pod bronią. Magazyny złupiono; wiele broni i amunicyi, pozostawionej przez portugalczyków, zabrano.

———

LITERATURA I SZTUKA.

JEDEN Z POGROMCÓW.

II.

Ostatnimi czasy weszło w modę sarkać na pozytywizm. Nawet na wołowej skórze niepodobna byłoby spisać niegodziwości, jakich ten grzesznik dopuścił się względem społeczeństwa. We wszystkiem zawinił: wprowadził do kraju etykę mieszczańską, wyklął sztukę, ba nawet wyobraźnię, wyziębił uczucia i zniszczył zapały, podporządkowawszy go trzeźwemu rozsądkowi, wreszcie, chociaż dużo mówił o umiłowaniu wiedzy, prócz czczej frazeologii nic nie dał. Nie byłem wielbicielem Comte'a, który ideje S. Simona przyodział w szatę mandaryńską, zdaje się pierwszy wystąpiłem przeciwko moralności darwinizmu, który z przesłanek biologicznych ukuł był oręż sofistyczny na korzyść bankrutującego systemu wolnej konkurencyi i korzył się przed wszelką siłą, swego czasu ledwie nie zostałem rozszarpany przez p. Straszewicza, żem ważył się filozofię Herberta Spencera nazwać wielką blagą. Były to ongi cielce i bałwany w naszej świątyni umysłowej. Ale bynajmniej nie chciałbym zostać zaliczony przez kogoś do tych szeregów, które dzisiaj, mniejsza pod jakiem hasłem, poczynają urągać „grzesznikom" pozytywizmu i pastwić się nad epoką, która rozrzmiewała była pełnią życia. Na domiar złego wygląda to dość głupio, kiedy ktoś, korzystając z tego, że historya posunęła się w swoim pochodzie o lat dwadzieścia i tem samem odkryła nowe rzeczy, włazi pompatycznie na szczudła i zbogacony cudzem doświadczeniem czyni swoim poprzednikom zarzuty, iż nie dojrzeli tego, czego jeszcze nie było naówczas. W dziwniejszem urąganiu bowiem idzie niekiedy o nawymyślanie komuś za to, że nie przeczuł przyszłości, częściej zaś jeszcze o coś innego. P. Choiński jest może najlepszym przedstawicielem tego ostatniego odłamu, bo najodważniejszym i *last not least* najgadatliwszym. Nieprzejednany to wróg nauki mimo komplimentów, jakie jej prawi. Nie będzie wprawdzie jak kalif palił bibliotek, ale wzorem Jnków zorganizowałby z pośrod uczonych zamkniętą kastę, której niewolno byłoby przed hołotą paplać o swoich hypotezach i o swojej filozofii *), i chętnie trzymałby światło pod korcem. Sam jeszcze się miarkuje, ale jego różni *alter ego* pod postacią bohaterów w powieściach złorzeczą bez końca. „Nauka, nauka, nauka!—biada jeden z grzeszników — trąbiono nam, wrzeszczano, skrzeczano w uszy: ona jedynie daje światło i szczęście, prawdę i powodzenie, ona wyleczy rany społeczeństwa, poniży bogatych, dźwignie ubogich. Ona, ona, ciągle ona!" W gruncie rzeczy naszemu pogromcy idzie o uratowanie tego, co filozofia krytyczna chrzci mianem dogmatu, bo nawet najkrańcowszy pozytywista przyznaje idee wrodzone i intuicyę, szuka wytchnienia w sztuce i innych płodach wyobraźni. Bohaterzy, nie mogący się wyzwolić z pęt tej doktryny, uganiający się za majakami i wybierający się w sposób nawskroś mieszczański po złote runo, otwarcie spowiadają się z powodów swojej niechęci przeciwko nauce i wyłuszczają pobudki swojego nawrócenia. Są to poprostu lękliwe dzieciaki, które trwogą zdjęte tchórzą przed spojrzeniem w otchłań, ziejącą tylko pytajnikami, lub przed wędrówką po drodze, otulonej w nieprzejrzystą mgię Niepoznawalnego. Przepaść winna być zasłonięta zielonością i nie razić oczu swoją szpetną nagością, na drodze, wiodącej pomiędzy mgły, niechaj widnieje słup, mówiący że po niej chodzić nie warto. „Dlaczego nauka zabrała mi wszystkie złudzenia," skarży się jedno z owych maleństw duchowych! Tak, to bojaźń najczystszej próby przemawia ustami tych nieszczęśliwców, p. T. J. Choiński zaś, niby znachór, zaleca im swoje leki: bądźcie jako strusie pokornego mózgu a wielkiego ciała, schowajcie wasze głowy w piasek, a mary pierzchną! Niekiedy inna pobudka dźwięczy z lekka: ci różni Radziejowscy niedowierzają swojej woli, mają żądze tak silne, że nie czując nad sobą kodeksu moralności zależnej, obawiają się, iż zostać mogą szubrawcami.

Inni z przeciwników cofają się przed tak jasnem postawieniem kwestyi, jeszcze inni szarpią „pozytywizm," nie świadomi nawet dlaczego. Poprzestaniemy więc na

*) W *Na schyłku wieku* czytamy: „I uczeni innych czasów stawiali kruche domki z hipotez, bez których się żadna wiedza obejść nie może. Ale braminowie Indyj, kapłani Judei (?) i Egiptu, rozumniejsi od mędrców współczesnych, nie przypuszczali do swoich doktryn niewtajemniczonych, czyli nieświadomych, a filozofowie wieków średnich i późniejsi posługiwali się językiem łacińskim, niezrozumiałym dla mas szerokich. Bo starzy wstecznicy (?) wiedzieli bardzo dobrze, że nauka może być moralna i niemoralna, pożyteczna i szkodliwa " (str. 86).

---

u nieboszczki z Senegalu — co rozstrzygnęło może o wyborze mamy i ciotki Klary; chciały zapewne wywołać pewien trwały rodzaj iluzyi co do osoby w mojem, trochę niestałem sercu. Na uszach — czapeczka czysto czarna, utwierdzona prosto i podwiązana jakby przepaską nad żywemi oczkami; krótka, czarna mantylka na ramionach; wreszcie czarny ogon, wspaniałą tworzący kitę, wiecznie ruchomy, ciągła jakby przestroga dla much. Pierś, brzuszek, łapki były białe, jak puch łabędzi, całość zaś robiła wrażenie grubej kity sierści, lekkiej, leciuchnej, bez wagi niemal, a poruszanej przez maleńki, kapryśny mechanizm zawsze naprężonych nerwów.

Gdy badanie skończyłem, Moumoutte wymknęła mi się dla powrócenia do swoich figlów. I w pierwszych chwilach powrotu — z konieczności smutnych trochę, bo stanowiących o jeden etap więcej w życiu — nowa ta biała kotka w czarne plamki zmusiła mię do zwrócenia na nią uwagi, już to pozdrawiając mnie skokiem do nóg, już znowu wyciągając się na ziemi, z całkiem udanem zmęczeniem i każąc mi w ten sposób lepiej podziwiać białość jej brzuszka i jedwabistej szyi. I figlowała tak wciąż, podczas gdy oczy moje spoczywały w skupieniu: na dwóch drogich obliczach, uśmiechających się do mnie, a poznaczonych już trochę starością i okolonych puklami więcej, niż dawniej siwymi; na portretach rodzinnych, które zachowywały ten sam wyraz i wiek ten sam zawsze; na przedmiotach, które wiecznie na tem samem widywałem miejscu; na tysiącu rzeczy, które w dziedzicznej tej siedzibie pozostały i tym razem nieruchome, gdy tymczasem ja niosłem był przez zmienny świat duszę moją zmienną...

I oto obraz trwały, stanowczy, który został mi nawet po jej śmierci: wesołe, małe, bieluchne zwierzątko, figlujące na czerwonem tle dywanu, między żałobnemi sukniami mamy i ciotki Klary, o wieczornej godzinie, w dzień jednego z moich wielkich powrotów...

Biedna Moumoutte! Podczas pierwszych zim swego życia bywała nieraz małym duchem opiekuńczym rodziny, ogniska tego małym chochlikiem, który rozweselał dwie jego błogosławione kapłanki: mamę i ciotkę Klarę. A gdy błądziłem po morzach dalekich, gdy dom stał się był znowu wielkim i pustym, w smutne zmierzchy grudniowe, w długie jak nieskończoność wieczory, wiernie dotrzymywała im towarzystwa, męcząc je czasem i pozostawiając na ich jednakich, czarnych bez zarzutu sukniach pęki białego puchu. Żadnych nie mając skrupułów, układała się przemocą na ich kolanach, na stoliczkach do roboty, w koszyczkach nawet, gdy przyszedł kaprys, i plątała kłębki wełny i motki jedwabiu. Wtedy z miną straszną, w głębi zaś duszy do śmiechu gotowe, mawiały: „Ach, ależ ta kotka, rady sobie z nią dać już nie można! Proszę się zabierać, proszę!.. Czy widział już kto coś podobnego!.. A to co znowu!.."

Była nawet przeznaczona dla niej dyscyplinka, którą jej pokazywano.

Kochała je kocina swoim sposobem, niesfornie, lecz ze wzruszającą stałością i chociaż tylko dlatego niedoskonała, dziwaczna jej duszyczka zasługuje, abym jej zachował wspomnienie...

Na wiosnę, kiedy słonko marcowe ogrzewać zaczynało podwórze nasze, niespodziankę zawsze nową stanowiła dla niej budząca się i wychodząca z ziemi towarzyszka stołu i przyjaciółka jej, Suleima, żółwica.

W maju duszę jej ogarniała zazwyczaj niepokonana potrzeba wylania się i swobody; natenczas zdarzało się, że odbywała nocne wycieczki po ogrodach i dachach okolicznych — wycieczki, które — nadmienić tu muszę — niedostatecznie bywały rozumiane w surowem środowisku, w którem ją los umieścił.

Latem miewała omdlenia kreolki. Całymi dniami omdlewała tak z rozkoszy i gorąca, wyciągnięta na starym murze pomiędzy powojami i krzakami róż, lub też leżąca na ziemi, na białych kamieniach, wśród doniczek kwitnącego kaktusu, i grzejąca biały brzuszek w promieniach słońca.

Nadzwyczajnie o siebie dbała, i w zwykłych czasach, ugrzeczniona, „correcte," arystokratyczna aż do szpiku kości, bywała nieznośną w stosunku do innych kotów i stawała się nagle bardzo źle wychowaną, gdy któryś do niej przyszedł w odwiedziny. Odmawiała obcym kotom prawa ukazywania się na tem podwórzu, które uwa-

p. T. J. Choińskim. Nie będę z nim spierał się o słuszność tego lub innego poglądu, sądzę bowiem, że pożyteczniej postąpię, czyniąc krótki rachunek tego, czem był stary pozytywizm warszawski. Nie zawadzi kogoś o tem oświecić, komuś innemu przypomnieć. Prąd ten naszej myśli upadł niby pod ciężarem bankructwa wewnętrznego i pozostawił po sobie jeden tylko dymek na stronicach literatury oraz serca spalone, poszukujące wody ożywczej w metafizyce mistycznej. Prócz paradoksów krajowi nic nie przyniósł, z życiem jego nie zrósł się, bo był na jego powierzchni jako kropelka oliwy. Chociaż sporo prawił o nauce, przecież w spuściznie po sobie nie pozostawił żadnej pracy wiekopomnej. Wraz z etyką niezależną krajowi dał widnokręgi mieszczańskie. Ba, czegóż jeszcze nie nabroił! Tak, czasy pozytywizmu minęły niepowrotnie, ale sam on, lubo utonął w potoku dziejowym, nie jest zgoła jako kamień, który bezwładnie spoczywa na dnie. Jak powierzchnia wód długo drga jeszcze dokoła miejsca, w którem głaz rzucono, podobnie skutki dodatnie pozytywizmu żyją w naszej umysłowości. A wpływy prądów myśli należy oceniać nietylko bezwzględną miarką — tem, co wydały, lecz jeszcze w większej mierze tem, jakie chwasty historyczne któryś z nich uprzątnął. Kraj nasz w chwili, kiedy grzesznik ów począł głos zabierać, był istotnem bagniskiem uczucia i rozumu. Sentymentalizm ciurów rozpostarł się w powietrzu, tak pierzchliwy, że obawiał się własnego cienia, uczucie manifestowało się tem, aby krewniakom zapewnić jak najwięcej synekur, piśmiennictwo cziło zasadę, że ręka rękę myć winna i dlatego uprawiało kult adoracyi wzajemnej, nauka — ach! ten biedny kopciuszek pitrasił potrawy, od którychby nawet uczeni w stylu p. T. J. Choińskiego się odżegnywali! Grono młodzieży dowiedziało się, że w dalekiej Europie są uczeni innej miary, zżymało się przeciwko etyce wzajemnej łapówki, mniejsza że uiszczanej nie w gotówce, ale papką i czapką, usłyszała, że ludzie gdzieś unoszą się nad czemś innem, niż nad zalotami swego przyjaciela i inną miarę przykładają do rzeczy i do stosunków. Cóż miało czynić? Może począć od kompilacyj tomowych lub tłomaczyć monografie o ślimakach, albo wreszcie czekać, aż następne pokolenie myślicieli zagranicznych wykaże blagę Spencera i pazury mieszczańskie Renana, ażeby podać krajowi złoto przetrawione w ogniu? Okazało się rozsądniejszem, aniżeli nauczyciele po niewczasie! Uczyniło to, co w danym razie zrobić mogło najlepszego: wzięło ostatnie uogólnienia filozofii naukowej i poczęło o nich rozpowiadać w ojczyznie swojej, która dotychczas nie słyszała o takich dziwolągach. Los to już wszystkich krajów-kopciuszków, że muszą rozpraszać swoje ciemności pożyczanem światłem, przytem nie zbyt dużo światła dającem. Naturalnie, że wzięto to, co posiadało w Europie rozgłos największy, a zatem Renanów, Littrów i Haeckel'ów z ich przyodziewkiem mieszczańskim, trudno bowiem było wymagać, ażeby w życiu zagranicy dostrzegli zarodki tego, co było jeszcze w pieluchach. I młodsze pokolenie czyni to samo i nasi następcy będą może nam wytykać, żeśmy czegoś nie zrozumieli i w jakimś drobnym zarodku nie przeczuli przyszłej wielkości. Inaczej być nie może! Kraj-kopciuszek może posiadać w sobie dużo zdolności, ale z siebie nie krzesa nauki i żyć musi z cudzego dorobku. Wszystko przychodzi z zagranicy, i maszyny ulepszone, i wytwory mózgu. Jest on jako syn późniejszy, który chodzi w sukni brata pierworodnego, już krótkiej dla niego. Bądź co bądź, pozytywiści wyrąbali okienko w naszej ciemnicy, a sił swoich nie żałowali. Jakie zaś światło tamtędy wpadło, nie od nich to już zależało. Było ono przecie tak silne, że sowy swojskie zahuczały. Kult adoracyi wzajemnej zadrgał od ciosów, dogmat filozoficzno-naukowy zatrząsł się w swoich posadach. A blask, wpadający przez okienko, kogóż nie olśnił?! Ludzie lubią uchodzić za to, czem nie są i przywdziewać na siebie nie swoje piórka. Wielu nie przyznaje się, co winni pozytywizmowi, jeszcze więcej nawet o tem nie wie. Ale pamiętam ów wpływ, jaki światło sprowadzone wywarło na grono, w którem wzrastałem. Żaden z nas nie był „pozytywistą,“ wszyscy jeszcze na tym prądzie wychowaliśmy się. Jak z orzecha łupinę, tak odrzuciliśmy jego socyologię, lecz wykarmiliśmy się na jądrze — poszanowaniu dla myśli krytycznej i zapale, jaki stamtąd powiał. A sądzę, że jest to rdzeń pozytywizmu i gdyby rzecznicy jego dojrzewali w obecnej chwili, zatrzymaliby równie to jądro; bez tego prądu istniałoby swojskie mieszczaństwo, ale nie byłoby światła europejskiego. P. T. J. Choiński był pono też pozytywistą — bynajmniej nie czynię mu z tego zarzutu, tuszę tylko, że był bardzo kiepskim, kiedy nie umie tego ziarna wyłuskać z łupiny. Nie Comte bowiem i nie Büchner byli tam bożyszczami, ale krytycyzm; odrzucono nie idee wrodzone — lepiej powiedzmy — kategorye, i intuicyę, ale sposoby posługiwania się niemi, nie z poczyi drwiono i nie z wyobraźni, ale z niedołężnych jej surogatów, i mieszczaństwo było nie dlatego popierane, że było mieszczaństwem, ale ponieważ rwało się naprzód. Nasz pogromca przewybornie uzmysławia tę atmosferę, z której wyprowadził nas pozytywizm. Zna on tylko to, co znał ten grzesznik, nie prześcignął go pojmowaniem stosunków, nawet nie dotarł do jądra potężnych prądów nowo-zachowawczych zagranicy. Filozofuje według recepty — Comte'a, tylko że uznaje jeszcze dogmat. Mówiąc, że na turniejo międzynarodowe wyruszył z rynsztunkiem iście warszawskim, to właśnie mieliśmy na myśli. Pomówimy o tem jeszcze szczegółowiej. W każdym razie bardzo dobrze, że pozytywizm istniał, bo bez niego p. T. J. Choiński byłby w rynsztunku jeszcze mniej europejskim.

Pozytywizm przebrzmiał. Należy nam wytłomaczyć się z tego nieco jaśniej. Kiedy rozmyślamy nad rozwojem naszej umysłowości, to przedstawia się on jako płytka, chociaż coraz szersza rzeka. Ale nie w kraju bierze ona początek, ani też nie zawsze była tak szeroką. Kiedyś było to niemal stojące bagno. Znaleźli się ludzie, którzy sprowadzili silny nurt z zagranicy i nim przerznęli kałużę. To pozytywiści. Potem dopływ drugi i dziesiąty złączył się z nurtem; te nowe wody przyszły również z obczyzny. Strumyków takich wpada coraz więcej i pierwotny zniknął pomiędzy nimi, bo zmieszał swoje wody. I przyszłość nasza to równie wpływanie takich nurtów z zagranicy, bo na własne a liczne i silne źródło niepodobna liczyć. Każdy z nich prócz czystej wody znosi taki lub inny muł — co przyszłość odrzuci

---

żała za swoją siedzibę. Gdy z ponad muru sąsiedniego ogrodu wychyliło się nieśmiało dwoje uszu i pyszczek koci, albo gdy cośkolwiek tylko zaszeleściło w gałęziach lub bluszczu, zrywała się, jak młoda furya, najeżona aż do końca swojej kity, niedająca się już powstrzymać, zupełnie niemożliwa; następowały piski, w bardzo złym smaku, upadki i drapanie...

Wogóle odznaczała się zuchwałą niezależnością, a najczęściej nieposłuszeństwem; lecz kiedyindziej znowu okazywała tyle przywiązania, tyle pieszczot i słodyczy i tak ładny wydawać umiała okrzyk radości, ilekrotnie powracała z jednej ze swoich włóczęgoskich wycieczek do ogrodów sąsiednich.

Miała już pięć lat, angorowa jej piękność była właśnie w rozkwicie; zachowywała się ze wspaniałą godnością, miny miała królowej, ja zaś w ciągu całej seryi wyjazdów i powrotów przywiązałem się już był do niej, uważając ją za istotę, należącą do ogniska, do domu naszego—gdy na odległości trzech tysięcy mil od nas, w zatoce Pekińskiej, przyszła na świat z rodziny więcej niż skromnej ta, która stać się miała nieodłączną jej przyjaciółką, najdziwaczniejsza istota, jaką kiedykolwiek znałem: Chińska Moumoutte.

. . . .

Bardzo dziwnym jest przypadek, który złączył mnie z tą Moumoutte rasy żółtej, zrodzonej z ojców ubogich i pozbawionej wszelkiej urody.

Było to ku końcowi wojny tamtejszej, jednego z tych wieczorów, pełnych zamętu, tak podówczas częstych. Nie wiem, jakim sposobem zwierzątko to wystraszone dostało się na pokład naszego statku i przyszło poszukać schronienia do mego pokoju, pod moją kanapkę. Kotka to była młoda, o kształtach jeszcze nierozwiniętych, schudzona, litość wzbudzająca. Żywiła się zapewne, jak rodzice i państwo jej — głowami rybiemi i troszką ryżu, zgotowanego na wodzie. I taki mnie wziął żal, żem polecił podać jej jadła i napoju.

Z pokorą i wdzięcznością przyjęła moją uprzejmość—i widzę ją jeszcze, zbliżającą się zwolna do tej niespodziewanej uczty, wysuwającą najpierw jedną łapkę, potem drugą, a jasnych oczu ani na chwilę z moich nie spuszczającą, jakby dla pewności, czy się nie myli, czy to istotnie dla niej jest przeznaczone...

No, ale nazajutrz wyrzucić ją chciałem za drzwi. Kazawszy jej podać pożegnalne śniadanie, zacząłem klaskać w dłonie, tupać nogami, jak to się zazwyczaj w takich razach robi i wołać surowym głosem: — Idź sobie, idź, Moumoutte!

Ale gdzież tam! Ani się jej śniło! Oczywiście wcale się mnie nie bała, spotrzegła że dużo było przesady w całej tej wrzawie. Z miną, która mówić się zdawała: „ale, wiem dobrze, że nic mi złego nie zrobisz!“ siedziała zwinięta w swoim kącie, przytulona do podłogi, w pozie błagania, patrząc na mnie dwojgiem rozszerzonych oczu, takim wzrokiem ludzkim, jaki tylko u niej jednej widziałem.

Co począć? Jednak nie mogłem przecież do pokoju mego na okręcie przyjąć kotki na mieszkanie. W dodatku jeszcze takie brzydkie, chorowite zwierzę—jaki to kłopot na przyszłość!...

Więc wziąłem ją na ręce, podniosłem bardzo delikatnie, powiedziałem nawet: „Bardzo mi przykro, moja ty Moumoutte!“ ale rezolutnie wyniosłem ją za drzwi, na drugi koniec pokładu, między majtków, którzy wogóle wielce są gościnni i radzi jakimkolwiek bądź kotom.

Przykucnąwszy na desce pomostu, z głową zwróconą ku mnie i spojrzeniem pełnem dawnego błagania, nagle zaczęła zmykać, drobnym, pokornym, śmiesznym kroczkiem—biegła w kierunku mego pokoju i z nas dwojga pierwsza się w nim znalazła; kiedym wszedł, zastałem ją przytuloną uparcie do swego kąta, oczy jej zaś tyle mówiły, że brakło mi odwagi, aby ją znowu wypędzić. W ten więc oto sposób chinka ta zrobiła ze mnie swego pana.

Służący mój, który od początku walki wyraźnie trzymał jej stronę, natychmiast zagospodarował ją u mnie, stawiając pod łóżko wysłany koszyk, mający jej służyć do snu—i jedną z moich dużych tac chińskich, bardzo praktycznie piaskiem napełnioną... (szczegół, który mnie zmroził).

(D. c. n.).

Wody te płyną wspólnem łożyskiem. Pozytywista, wykarmiony na etyce Spencerów, a przedstawiciel nowej formacyi, który przed tym świecznikiem nie pali kadzideł, stary wielbiciel Moleschotta, który gotów był tłomaczyć duszę na materyę, a nowszej, który wolałby materyę przełożyć na ducha i w ostateczności chętnie przyjąłby wiadomość o istnieniu zjawisk medyumistycznych, bo to urozmaiciłoby nasze pojęcia o przyrodzie, lub nowoczesny metafizyk w rodzaju, zdaje się, Preyera, dowodzącego, że materya organiczna istniała przed nieorganiczną i że na słońcu mogą być rozumne stworzenia, złożone z pierwiastków płonących; oportunista Spencer i biurokrata Comte, usiłujący przekonać człowieka: tu poczyna się granica Niepoznawalnego, a taki Crookes, śmiało idący w głębie tej mgły — wszyscy jeszcze wzajemnie siebie rozumiemy, ale nic wspólnego nie widzę pomiędzy sobą a p. T. J. Choińskim, mimo że bardzo sprawiedliwie ocenił on Heinego, szydzi z burżuazyi, urąga etyce trzody karmnej. Dzieli nas stosunek do myśli krytycznej i żłobi przepaść niezapełnioną...

K. R. Żywicki.

LITERATURA POLSKA.

Klemens Junosza. *Wybór pism w X tomach.* Tom V.

Junosza oryginalnym jest i samoistnym tylko w sferze obrazowania żydów. Tutaj wnosi głębokie znawstwo, rozległą skalę dowcipu i humoru, rozmach artystyczny. Szkice, zaczerpnięte z innych dziedzin, niczem się nie odznaczają, ani polotem psychologicznym, ani śmiałością myśli, ani wielką barwnością formy. Tematy bardzo często są te same, co w pismach B. Prusa i Ad. Dygasińskiego. Zestawienie takie wypada niekorzystnie dla Junoszy. Ustępuje on dwom wymienionym autorom pod względem świeżości pomysłów, obrobienia rysunku i kolorytu. Obrazki jego przedstawiają coś odrębnego w szeregu tworów analogicznych. Dużo w nich pogody, światła wesołego, prostoty, brak natomiast piętna „współczesności.“ Ale rzeczy takie mają bardzo liczne koło czytelników. Z dzisiejszych beletrystów naszych Junosza może jest najdostępniejszy dla ogółu, najbardziej z nim spokrewniony duchowo. Wogóle jest on prawowitem dzieckiem tłumu „inteligentnego.“ Pisma jego zawsze są pożądanym gościem w dworkach wiejskich, śród rodzin drobno-mieszczańskich i średnio-burżuazyjnych.

„Oryginał z Piskorzewa“ przenosi nas do małego miasteczka prowincyonalnego. Stare żydowskie przysłowie powiada, że każde miasto ma swego waryata. W Piskorzewie było ich aż dwóch. „Jeden etatowy, istniejący zdaje się dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia—drugi zaś prywatny, wolnopraktykujący, ot taki sobie waryat, który popełnia głupstwa dla przyjemności osobistej i na własny rachunek.“ Pierwszy był żydem. Drugi — chrześcianin, pan Dezydery, wdowiec bezdzietny, człowiek majętny, były profesor gimnazyalny, bardzo rozumny i prawy. Po stracie żony i dzieci osiadł w Piskorzewie, wybudował wykwintną wilę, sadził drzewa, hodował kwiaty, niechętnie zawierał stosunki, chociaż od ludzi bardzo nie stronił. Opinia publiczna miała twardy orzech do zgryzienia, nie wiedziała jak go określić, do jakiej kategoryi zaliczyć. Obdarzono go tytułem melancholika, wreszcie nazwano waryatem. Wiele rzeczy utwierdziło ogół w tem mniemaniu. Najpierw pan Dezydery ofiarował kilkadziesiąt rubli kahałowi na odpowiednie przyodzianie prawie nagiego waryata żydowskiego. Następnie zaczął skłaniać staruszka-doktora do zwracania baczniejszej uwagi na porządki w mieścinie, do stworzenia komisyi sanitarnej. Wieści takie niezmiernie przestraszyły sławetnych mieszczan i żydków. Kupił dom na szkołę. Ostatecznie pomyślne rezultaty uwieńczyły jego plany i zabiegi. Piskorzew trochę przyszedł do porządku; zamiast brudnej kałuży, na środku rynku powstał skwer, szkoła, latarnie, szpital itd.

Więcej żywiołu komicznego i plastyki posiada drugi szkic, „Folwark do sprzedania.“ Pan Michał, emeryt i kamienicznik warszawski, ratując pieniądze, umieszczone na majątku ziemskim, musiał go nabyć. W taki przypadkowy sposób został właścicielem dóbr ziemskich, które składały się z niewielkiego folwarku w pobliżu Warszawy, o glebie piaszczystej i nieurodzajnej. Z powodu prawie zupełnego zapuszczenia, nowy dziedzic musiał wyłożyć poważną sumkę na odpowiednie zagospodarowanie. Nie zamierzał bynajmniej stale zamieszkać na wsi i zająć się uprawą roli. Natychmiast ogłosił, że jest „folwark do sprzedania,“ sam zaś pragnął tylko wraz z rodziną przyjemnie spędzić wakacye w nowem swem dziedzictwie. Pysznie odmalowane są kłopoty, nadzieje i rachuby filistra miejskiego na roli. Dobrze naszkicowane sylwetki osób, przyjeżdżających dla kupna majątku. Ostatecznie panu Michałowi udało się znaleść nabywcę, młodego człowieka, który nietylko kupił folwark, lecz niebawem ożenił się z jedyną córką właściciela.

Obrazek p.t. „Spekulacye pani Milskiej“ jest idealizowaniem cnót groszowych i poprzestawania na małem, godzenia się z losem. Szczęście jest niedościgło, trzeba więc z radością i pogodą duchową kręcić się w deptaku obowiązków codziennych. Ale „skromny dobrobyt“ jest wprost niezbędny. Dopiero wówczas w gniazdku mogą się rozwijać cnoty rodzinne i wesoły szczebiot uczuciowy. W tym razie Junosza jest wiernym wyznawcą ideałów i zasad drobnomieszczańskich.

Z szeregu szkiców świetnie się wyodrębnia i przykuwa uwagę „Icek podwójny.“ Pachciarz uprzejmy, grzeczny, przedsiębiorczy, nagle skwaśniał i wpadł w zadumę. Skutkiem różnych zawodów zgorzkniał. Kraj, w którym mieszkał, zaczął mu się rysować w bardzo czarnych barwach: „Paskudny piasek, bagna i wyskubane lasy. To jest bardzo feleroway i brzydki ten kawałek ziemi. Na folwarki to niewiele warte, a w kupie tyle co nic.“ Czy to człowiek wrona — powtarzał — żeby lubił zawsze na jednem drzewie nocować. Jak komu dobrze, to siedzi; jak komu źle, idzie dalej. „Ja chcę iść — zwierzał się — do takiego miasta, co jest w niem ruch, handel, dobrych interesów, zarobków, gdzie jest tyle banków, co tutaj szynków, a tyle szynków, ile tutaj tych much, co około obory latają. Chłopi są tam całkiem czarne i dzikie. Wódkę uni bardzo lubią, a na pieniądzach wcale się nie znają. Z takim narodem można handlować. Tam jest smak i honor. Pierwszy smak w tem, że nikt nie pyta, czem kto handluje.“ Icek pochodził z rodu „myślicieli,“ z takiej pięknej famili, w której byli mężowie nabożni, uczeni i myślący. Dość im było spojrzeć na cokolwiek, na najmniejszy przedmiot, aby wysnuć z niego pasmo wspaniałych i zawiłych obliczeń. Świetnie skreślona jest rozmowa Icka z chłopem. Podczas podróży wypuścił mędrzec z głowy dwie myśli, z których jedna była niby gołębiem, druga wężem. „Gołąb pofrunął pod obłoki, wąż popełznął cicho po ziemi. Jak dubeltówka może z jednej lufy wyrzucać śrót, a z drugiej kulę, tak głowa ludzka może tworzyć paezyę i prozę. Biały gołąb poezyi pofrunął daleko i wysoko i zaprowadził myśl Ickową do tego kamienia przy drodze, o który była oparta drabina Jakóbowa. Napawał się tem pięknem wspomnieniem, aż przypełzła myśl druga i ściągnęła ducha Ickowego do chłopskich pleców z powrotem i już się myślicielowi naszemu całkiem rozjaśniło w mózgu i przyszedł do wniosku, że jednak ta drabina z plecami chłopskiemi ma związek.“ Podczas rozmowy zaczął wmawiać swemu woźnicy, że był jego i innych chłopów dobrodziejem. Na odpowiedź Marcina, że za dobrodziejstwo swe kazał suto płacić, odrzekł: „No, że ja wam pieniędzy nie dawałem darmo, to prosta rzecz, pieniądze kosztują; że wy mnie nie chcecie żałować darmo, to jesteście zły człowiek. Żal idzie z serca, a przecież serce nic nie kosztuje. Czy zapłaciliście za nie choć jeden grosz? Co wy jesteście beze mnie? Co wy znaczycie?.. Jaką wy sobie możecie dać radę... aj, aj, my jesteśmy dla was tem, co głowa dla człowieka, my za was myślimy.“ Chłop jednak cały był przejęty pogardą i zimną obojętnością względem żydów, nazywał Icka cyganem, człowiekiem jedzącym cudzy chleb. Ickowi wcale nie podobało się takie dowodzenie i rozżalony wciąż urągał stosunkom krajowym, twierdził, że wcale nie ma smaku w tutejszych interesach. Ostatecznie jednak pozostał w kraju, trafiła się bardzo korzystna spekulacya i to go skłoniło do wyrzeczenia się zamiarów emigracyjnych. Właściwie cały ów nastrój, rozgoryczenie i żal stanowiły jedną z przejściowych chwil psychologicznych. Dobrze chwycił Junosza przeciwieństwo między chłopem a żydem, wiernie odmalował typ handlarski z całą jego ruchliwością, gorączką i sprytem. Świetny też napisał przyczynek do psychologii żydów. Forma jednak i koloryt humorystyczny „Icka podwójnego“ szkodzą jego poważnej treści, uwaga czytelnika rozprasza się więcej w szczegółach.

Br. Ch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— W dalszym ciągu wydawnictwa *Arcydzieł Szekspira* wyszły zeszyty 3 do 8.

— W „Bibliotece powszechnej“ (tanie książeczki po 10 kop.) wydano: Cycerona *Mowę za poetą Archiasem*, J. Korzeniowskiego *Mnich* i *Karpaccy górale*.

— Literaturze rolniczej przybyło kilka dziełek: *Wapno i margiel* przez dr. Ullmana, tłom. S. Rewieński, nakładem domu handl. K. Wasilewskiego; *Nauka o dobrej gospodarce rolnej*, A Strzeleckiego, książeczka dla mniejszych gospodarstw (str. 77 kop. 20); tegoż autora *Kamienie jako nawóz*, objaśnienie teoryi Hensla (str. 84, kop. 30).

— Kalendarze humorystyczne idą zwykle w pierwszym szeregu naszych roczników. Przypłynęły do nas dwa: *Bąk* (wyd. S. Sadowskiego, kop. 20) i *Dzidzia* (wyd. *Muchy*). Ten ostatni przeznaczony dla dzieci.

— *Obrazu literatury powszechnej w streszczeniach i przekładach* wyszedł zeszyt 2.

— Panie M. Dzierżanowska, C. Niewiadomska i J. Warnkowna wydały *Ćwiczenia do wykładu gramatyki i nauki języka podług zasad gramatyki Małeckiego i uchwał Akademii umiejętności w Krakowie.* Książka składa się z dwu części, jedna przeznaczona dla ucznia, a druga dla nauczyciela.

— Praca P. Chmielowskiego, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego* zaczęła wychodzić zeszytami w wydaniu ozdobnem. Do tekstu dodano ilustracye.

— *Kur. warsz.* zaznacza niezwykły fakt w naszym świecie wydawniczym: „Monologi“ Klemensa Junoszy, wydane w osobnej odbitce przed paru zaledwie tygodniami, rozkupiono zupełnie.

— Właściciel księgarni i składu nut w Kijowie, p. Idzikowski, otwiera salon artystyczny dla sprzedaży obrazów i rzeźb. Interesowani mogą tam posyłać w komis swoje prace.

— Termin otwarcia pomnika Chopina w Żelazowej Woli oznaczono na dn. 14 b. m.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów d. 6 października.

Galicya, to kraj nie tylko mieszany pod względem narodowości, ale też różnorodny w układzie oro- i hydrograficznym, stosunkach klimatycznych i t. d.

Wszystko to wpływa na sposób życia, odzież, język, zajęcia, mieszkanie i zwyczaje ludu. Wytwarzają się stąd jaskrawe różnice pomiędzy np. huculami, bojkami i łemkami z jednej, mazurami, góralami, krakowiakami i t. d. z drugiej strony. W każdej z tych odmian wskazują badania zazwyczaj mnóstwo odcieni, nie przypadkowych, bo przechodzących z pokolenia na pokolenie.

To bogactwo form etnograficznych, dotąd wcale jeszcze nie opanowane naukowo, daje etnografowi teren niezmiernie ważny; a z tego powodu przedstawiało dla wystawy, pole do wdzięcznej pracy. Wyczerpać ważniejsze formy, pokazać w dokładnem zestawieniu, główne typy etnograficzne naszego kraju, było możliwem, ale trudnem zadaniem.

Nasi zbieracze wytknęli sobie skromniejszy cel, wybrali z pomiędzy mnóstwa w naszych krajowych typach tylko niektóre, bardziej charakterystyczne i to przeważnie z Galicyi wschodniej. Z zachodnią obeszli się po macoszemu. Za najodpowiedniejszy sposób uznano postawienie zagród i osadzanie w nich ludzi danej miejscowości. Chata taka, zrobiona przez chłopów i z materyału sposobem w ich stronach używanym, okolona obejściem i przystrojona, jak tego obyczaj wymaga, zaopatrzona we wszystkie sprzęty, zamieszkana przez ludzi tamtejszych, występujących we własnych strojach, a zajętych pracą swoją—to zdaje się może dać najlepszy obraz materyalnej strony typu etnograficznego owej okolicy.

Rozumie się, że obraz taki nie jest zupełny, nie ma w nim tego, co dla historyka kultury nieraz jest najciekawszem: duchowej fizyonomii tego ludu, jego zwyczajów, obyczajów, obrzędów, pieśni i t. d. Z braku tej żywej charakterystyki, zebrano w pawilonie etnograficznym materyał, okazujący stroje wieśniaków, wyroby dla własnego użytku jak: tkaniny, ceramikę, obuwie; okazy przemysłu domowego jak: kilimy, koce, wyroby z drzewa i metalu; przedmioty, mające związek z obrzędami jak: pisanki, korowaje, drzewka weselne i t. d. To wszystko uzupełnia zbiorek fotografii wieśniaków w charakterystycznych chwilach życia np.: pod cerkwią, pierwsza siejba, obżynki, jarmark i t. d. O stanie umysłowym tych mas ludowych daje wyobrażenie biblioteka etnograficzna, zebrana przez dr. Iwana Franka, o dawnem zaś życiu na ziemi halickiej świadczy kolekcya wykopalisk, zebrana staraniem dr. Al. Czołowskiego. Zasługa urządzenia całego działu etnograficznego należy się prof. Włodz. Szuchiewiczowi. W niniejszym przeglądzie uwydatniamy najbardziej znamienne właściwości zagród włościańskich, po bliższe zaś szczegóły odsyłamy czytelnika do katalogu działu etnograficznego.

Chata zakopańska, zbudowana kosztem dyrekcyi Wystawy, przedstawia typowe mieszkanie gospodarza majętnego z gór Tatrzańskich, przedzielona jest sienią na izbę mieszkalną i gościnną, odświętną. Paleń (dwa równoległe drągi, umieszczone pod powałą) służy do suszenia drzewa, listwa zaś na ścianie naprzeciw drzwi na miski, a kołki na niej do wieszenia dzbanków i garnków. W chacie mieszczą się przedmioty góralskie ze zbiorów Bron. Dembowskiego i z muzeum imienia Chałubińskiego; zamieszkuje ją góral z Zakopanego. 74 letni Jędrek Krzeptowski, który objaśnia publiczności okazy wystawowe i zaznajamia ją z życiem góralskiem. Jest on młodszym bratem Jana Sabały Krzeptowskiego, jednego z najpożądańszych przewodników i bajarzy tatrzańskich. Przydomek przybrał sobie stary 88 letni Jan stąd, że kupił pole u niejakiego Sabały. Obraz starca zdobi jedną ze ścian izby odświętnej. Nad nim wisi jego gęśl.

Zagroda naddniestrzańska, zbudowana kosztem hr. Lanckorońskiego, przedstawia typową biedę okolicy, rok rocznie nawiedzanej przez powódź. Chata stawiana z pręcia obrzuconego obieloną gliną, a pokryta szuwarem, wygląda jak mieszkanie kafrów z nad Nilu. W ciasnej, brudnej izdebce siedzi Maryna Bityk, dziewczyna z owej wsi i trudni się wyplataniem kobiałek, głównem zajęciem mieszkańców tej okolicy. Czółno przed chatą wskazuje, że mężczyzni uprawiają tu (właściwie uprawiali) rybołówstwo, służy też ono w razie powodzi do niesienia ratunku. Mały chlewek chroni krowę, jeżeli jaka jest, przed deszczem i zimnem. Na palu, zatkniętym wśród podwórza, mieszkańcy suszą fasolę, jeżeli się urodzi.

W zagrodzie huculskiej wykonywają słynni domorośli rzeźbiarze, Skryblacy z Jaworowa, prace, niejednokrotnie na wystawach wyszczególnione. Wzory ich rzeźb stały się powodem, że nowo otworzona szkoła rzeźbiarstwa w Kołomyi, pracuje wedle motywów Skryblakowskich. Obok nich hucułka haftuje i tka zapaski. W świetlicy (izbie gościnnej) zwraca na siebie uwagę oryginalnością wzorów piec kaflowy, wykonany przez garncarza. W szopie znajduje się tak zwany watarnyk, przyrząd, na którym huculi wieszają kociołek (kazan), a podłożywszy ogień (watru), gotują w nim kuleszę. W czasie słoty chowa się do tej szopy bydło i konie. Z ornamentyki ludowej budzą ciekawość, ozdoby, bukiety, wianki, wycinane przez dziewczęta z papieru kolorowego. Przylepiają je do ścian lub też oklejają ramy obrazów, futryny okien i belki sufitów. Zwyczaj używania tych ozdób bardzo niedawny, rozpowszechnia się we wschodniej części kraju tak szybko, że już tylko w niektórych okolicach jest nieznany. Gerdany, wyrabiane z drobnych szklanych perełek w rozmaitych wzorach, odpowiadają haftom dzisiejszym. Nawlekać je trzeba na włosień lub nitkę, które się splata, a potem naszywa na wstążce czerwonej, zwanej harasówką. Używają ich dziewczęta i kobiety, jako ozdoby na szyi lub głowie, a parobcy zamiast wstążek do kapeluszy. Wyroby Szkryblaków, z których prace ś. p. Jury poświęciło Muzeum przemysłowe osobny zeszyt swego wydawnictwa: „Wzory przemysłu domowego na Rusi,“ zasługuje na wyszczególnienie. Jura wykonywał te roboty nadzwyczaj prostemi narzędziami, nożykiem i dłutkiem. Z wyrobów jego synów wymieniam nadzwyczajnie misternie wykonany świecznik i tak zwany *jaszczyk*, w którym hucuł bezpiecznie może wozić na koniu masło lub bryndzę w besahach (workach) po skałach i urwiskach, nie obawiając się zniszczenia. Obaj bracia używają już do wykonania swych rzeźb narzędzi kupnych i tokarni.

Dodać jednak należy, że obaj są jeszcze analfabetami, jakimi był i ich ojciec.

Zdjęcia fotograficzne nie budzą żywszego zainteresowania. Zaznaczam scenę wielkanocną. Sześciu parobków obnosi trzech towarzyszy wśród śpiewów odpowiednich po wsi, na zakończenie obrzędu „cerkiewkę“ poprzedza długi łańcuch dziewczątek, zwany *rozpustka*, co oznacza, że jak ten łańcuch się rozwija, rozpuszcza, ustaje obrzęd.

Inna fotografia przedstawia pierwszą siejbę. Trójcę (trzy świece woskowe) gospodarz wtyka w ziemię, zapala, układa obok niej na obrusie skaterka, dwa chleby i worek ze zbożem, a odmówiwszy modlitwę odpowiednią, rzuca pierwsze ziarno.

Okazów pisanek ze wszystkich powiatów Rusi galicyjskiej wystawiono ogółem 1,700. Robią się one u nas w następujący sposób: w lewej ręce kobieta trzyma *pysarka*, jajo, a w prawej „pysalce“ (jest to mała miseczka blaszana, przytwierdzona pod kątem prostym do patyczka). To pysalce macza się w płynnym, gorącym wosku, którym się świeczka wypełnia, a przy obracaniu jaja wosk kreśli rozmaite na niem linie. Wrzucone do barwy żółtej, zakrasza się nią zupełnie, oprócz miejsc woskiem pociągniętych, które zostają białe. Na tle żółtem pysarka pisze nowe linie pysalcem, poczem wrzuca się jajo do barwy czerwonej, która je farbuje całkowicie, z wyjątkiem miejsc pokrytych woskiem, a więc na białem i na żółtem tle. Po wyschnięciu przygrzewa się jajko blizko przy piecu, skutkiem czego wosk topnieje i daje się łatwo szmateczką zetrzeć, przez co występują na niem linie białe i żółte, a tło czerwone. Zieloną lub czarną barwę przenoszą pisarki wprost na jajo, po dokonaniu poprzednich czynności. Pisanki robią kobiety w czasie postu wielkanocnego. Poświęcone rozdarowują znajomym na znak przyjaźni.

Między wyrobami huculskimi z drzewa i mosiądzu są strzelby i pistolety krzemionkowe, ciekawe swą formą, z rożkami na proch podwójny (grubszy do lufy, a cieńszy, do podsypywania panewki), rzemienie, przystrojone błyszczącymi guzikami i łańcuszkami. Na szczególniejszą uwagę zasługują toporki, okazujące wszelkie rodzaje sztuki ornamentowania, mianowicie rzeźbę w rogu i drzewie, wybijane wzory na blasze, plecionka z drutu, mozaika z drzewa i cyny, wkładane druciki i blaszki. Przedmioty te są własnością Muzeum Pokuckiego, założonego w Kołomyi przez hr. Ed. Starzeńskiego. Manekiny w liczbie 32 przedstawiają wierny obraz typów ludu ruskiego z różnych okolic, stanowiących niejako strefy etnograficzne. Materyały na odzież, z wyjątkiem ubrań mieszczańskich, są wyrobami przemysłu domowego. Każda włościanka przędzie wełnę lub len, odnosi przędzę, jeżeli nie ma własnego warsztatu tkackiego, do tkacza, a stąd do krawca lub sama sporządza odzież sobie i całej rodzinie. Ubrania na tych manekinach wszystkie odświętne. Piękny jest typ górali z pod Czarnohory. Strój krótki, dla łatwiejszego wsiadania na konia i ruchu po krętych drogach i urwiskach, ułatwia huculom lekkość i zwinność, do czego wielce przyczyniają się kierpce, przypasowane mocno do nóg. Malowniczości stroju dodaje zazwyczaj krótki, czerwony sierak i takież spodnie. Koszulę hucuł nosi zawsze na wierzchu spodni. Szeroki trzos, najeżony mnóstwem guzików, łańcuszków, służy za opasanie i dla przechowania fajki, moszonki na pieniądze, noża, krzesiwa, przetyczki do fajki, igielnika, a czasem tkwi po za nim i pistolet. Przez plecy przewieszona dziobina, w którą hucuł chowa chleb, chustkę, tytoń itd. Krzyż mosiężny zdobi jego pierś, a szyję duża chustka. Głowę pokrywa latem ciężkim, filcowym kapeluszem. Nieodstępnym towarzyszem rodziny huculskiej jest keptar, krótki kożuszek bez rękawów, który podczas słoty obracają włosem na wierzch. Hucułka nosi zamiast spódnicy dwie zapaski własnego wyrobu z wełny, z których przednią przy pracy odpina; szyja jej dźwiga nieraz kilka kilo korali weneckich i krzyżyków wyrobu mosiężników domorosłych, głowę zdobi kosa,

gęsto przepleciona włóczką, kwiaty i naczółek z blaszek mosiężnych. W kosę wplatają guziki i białe muszle.

Zupełnie inaczej wygląda ubranie mieszkańca równiny; jest ono długie, ciężkie — jak i sam wieśniak poważny, pracujący zwolna, bo mozolnie, koło roli. Płeć kobieca, u góralek czasem i w późniejszym wieku gładka — u włościanek z dołów rychło pokrywa się zmarszczkami, wywołanemi wczesną a zabójczą pracą w dzień i w nocy.

Strój dziewczyny ze Śniatyńskiego wskazuje wpływ rumuński, który owładnął już całą Bukowiną ruską i dostaje się do sąsiednich wsi Galicyi.

Prawdziwa córka Rusi galicyjskiej ubiera głowę bogato w kwiaty, wstążki włóczkę, koszulę wyszywa przeważnie wełną czerwoną, kiedy rumunka pstrzy głowę i koszulę świecidełkami. Krótki kożuszek bez rękawów (serdak) nazywa się tu z rumuńska curkawką (u huculów — keptar).

Na manekinie z pow. rohatyńskiego każdy dostrzeże wpływ szkoły. Dziewczę, które zdobiło fartuszki we własne piękne, na całym świecie podziwiane wzory, nauczyło się wyszywań w nieokreślonych, niesmacznych liniach, do czego jej pewnie służyły jakieś niemieckie czy francuskie wydawnictwa mód.

Z wyrobów ceramicznych znaczenia etnograficznego ciekawe są *bliźniaki*, dwa garnki, złączone razem o jednem uchu, w których włościanki noszą robotnikom jedzenie w pole; także *okury*, rodzaj piecyków, służących do wykurzania pszczół z ulów. W tym celu wrzuca się do wnętrza nieco suchego gnoju bydlęcego, zapala się go, a dym zeń uchodzi sterczącym kominem do ula. Nizkie, *szerokie dzbanki* o wązkiem uszku, wyrabiane są wyłącznie dla żydów, którzy ugotowawszy sobie w piątek wieczorem kawę, wkładają te dzbanki w zarzewie, skutkiem czego płyn do soboty rano jest ciepły, żydom bowiem w „szabas" ognia rozkładać nie wolno.

Do piękniejszych budowli etnograficznych należy cerkiew, zbudowana przez huculów w takich rozmiarach, iż może wygodnie służyć za pawilon dla przedmiotów, dotyczących sztuki cerkiewnej, a zarazem być wzorem architektury ludowej.

Prościcki.

HYGIENA SPOŁECZNA.

II.

Zrozumienie konieczności nakazów hygienicznych zrodziło się niezwykle wcześnie. Badając samych siebie tylko, możemy łatwo przebiedz historyę własnego rozwoju aż do chwili, kiedyśmy — nie nazywając rzeczy „po łacinie" i bez naukowej zarozumiałości — odczuwać zaczęli konieczność profilaktyki. Myśliciele greccy i hebrajscy byli już zdania, że „naród wtedy tylko może rozwijać się i istnieć, kiedy pod względem społeczno-hygienicznym nie jest pozostawiony własnej woli, ale prowadzony według pewnego z góry obmyślanego planu." Wokoło tego zdania krążyły wszelkie pomysły, związane ze zdrowiem narodów starożytnych, w niem streszczała się, według mniemania p. Nossiga, istota ich żywotności; wskutek niewykonania takiego najwyższego przykazania rostrzygały się losy narodów. Autor w ten sposób objaśnia etniczny upadek Rzymu, a utrzymanie przy życiu narodu żydowskiego. „Tszung-yung," zasadnicze prawo życia chińczyków, w naszym języku „złoty środek" i dzisiaj tylokrotnie zalecany przez niepowołanych *tam in spiritualibus quam in saecularibus*, w dziedzinie hygieny znalazło sobie pole bogate do uprawy. „Powściągaj swe namiętności, o ile można; trzymaj się zawsze środka, a będziesz szczęśliwym." Życie rodzinne, to według Fo-hi główne ognisko życia narodu, a Meng-tseu, największy po Konfucyuszu mędrzec chiński, mówi: „wszelka inna miłość ustąpić musi przed rodzinną; kacerze tylko uczą, jakobyśmy wszystkich ludzi jednako silnie kochać musieli." Te same zasadnicze pomysły, tylko w bardziej drobiazgowej i wykończonej przeróbce znajdujemy u indów. Kastowość i tutaj wycisnęła swe piętno. Manu wymaga tylko od braminów, ażeby ściśle przestrzegali nakazy hygieny. Nie powinni oni jadać mięsa, muszą kilka razy dziennie chodzić do świętych kąpieli, poddawać się ciągłemu masażowi. „Król w czasie załatwiania spraw państwa powinien być nacieranym przez czterech ludzi." Po za tem indowie stworzyli w braminach klasę lekarzy wędrownych, którzy leczyli tylko przy pomocy systemu potraw, a nie używali lekarstw. W zakresie życia płciowego panował ten sam nakaz umiarkowania. Celibat występuje jako ideał na szczycie żywota pobożnego i ma być udziałem niewielu wybranych. Po za tem księgi mądrości induskiej głoszą: odradzanie się w potomstwie jest wysokim obowiązkiem. Przy wyborze małżonki indus powinien się kierować jedynie względami „zdrowia i pochodzeniem ze sławnego rodu, a kwestye majątkowe pozostawiać na uboczu." Do tego wszystkiego dodać należy ścisły dobór rasowy, urzeczywistniany przez zamknięcie się w osobnych kastach. Persowie starożytni dbali także o hygienę. Znajdujemy u nich prócz podstaw, które dla całego Wschodu były wspólne, taki np. ideał urządzenia cmentarza: powinno to być miejsce zupełnie odosobnione od wody i drzew, ziemia bardzo sucha i czysta; okolicę należy wybierać taką, gdzie by się najmniej mogło zbierać zwierząt domowych... Zdrowy człowiek niech się trzyma od trupa w oddaleniu trzech kroków; kto jeść będzie potrawę, napoczętą przez zmarłego, albo wdzieje jego ubranie — zasłabnie itd. Egipcyanie przestrzegali czystości w nakazie rytualnym, jadali tylko jarzyny i ryby, jako metod leczniczych używano postów itp., prócz tego upaństwowili pomoc lekarską; pozostawiali wszystkie swe dzieci przy życiu, wskutek czego mnożyli się niezwykle szybko i, zdaniem Herodota, stanowili nietylko „najmędrszy, ale i najzdrowszy naród."

Zasadom hygienicznym żydów starożytnych p. Nossig poświęca większą część (prawie połowę) swego dzieła. Znajdujemy u nich wykończony i specyalny system przepisów ochronnych przeciwko epidemii i chorobom zaraźliwym, dezynfekcyi odzieży i mieszkań, wypracowany szczegółowo. Dział chorób wenerycznych zawiera profilaktyczne wskazania obrzezania i czystości. Hygiena potraw dozwolnych i zakazanych stanowi również ważny przepis. Biblia zabrania prostytucyi, nakazuje natomiast wczesne małżeństwa i „wierność" w tych związkach, a jako równoważnik daje łatwość rozwodu. Medycyna żydów aleksandryjskich stała bardzo wysoko. Wiadomo, że lekarze żydowscy w dobie powstawania talmudu czynili sekcye na trupach i doświadczenia fizyologiczne na zwierzętach prawie półtora tysiąca lat przed medycyną europejską. Pojedyncze traktaty talmudu zawierają całkowitą osteologię, zasady fizyologii i tak obszerne wiadomości patologiczne, że przewyższają wiedzę szkoły Hipokratesa. „Księga czystości" dzieli się na 12 traktatów, z których główniejsze mówią: o czystości naczyń domowych, pościeli i ubrania, o nieczystości, wynikającej z dotknięcia trupa, o trądzie, o kąpieli i ablucyach (tu też szczególną opieką otoczone są kobiety), o czystości roślin, o myciu rąk itd. Talmud stwarza system ogólnych kąpieli ludowych i do ich odwiedzania zobowiązuje wiernych żydów (których zwyrodniałe potomstwo dzisiaj widzimy w „mykwach"); skupia przepisy rzezi bydła, która po dzień dzisiejszy pozostała taką samą i nie zdołała sobie zdobyć ogólnego prawa obywatelstwa *); przeprowadza szczegółowy podział mięsa na zdrowe i niezdrowe: nakazuje rzeźnikom badanie płuc, wnętrzności itd. Noc średniowieczna nie rzuciła bynajmniej zasłony na pracę medyczną żydów. Przeciwnie, im i arabom zawdzięcza nauka przechowanie najważniejszych tradycyj leczniczych. Żydzi zakładają własne szkoły lekarskie w Kordubie, przy akademiach rabinicznych, wydają znakomitych medyków, między innymi Ebu-Zohav'a, nauczyciela Averrhoesa, z Hiszpanii przenoszą owo ognisko oświaty do Francyi poł., gdzie w Montpellier w XI w. wykłady medyczne odbywają się w językach arabskim i hebrajskim. Isaac Judaeus, którego prace specyalne w wiekach późniejszych przełożono na język łaciński, przekazał filozofię medycyny, w której znajdujemy takie zdanie: „Większość chorych wraca do zdrowia bez pomocy lekarza, dzięki naturze. Jeżeli możesz wybierać, pomiędzy żywnością a lekarstwem, wybieraj pierwsze. Najważniejszym obowiązkiem lekarza jest zapobieganie chorobom." Brzmi to zupełnie nowocześnie. Największym jednak z tych uczonych był Mojrzesz ben Majmun (Maimonides), prawodawca żydowski XII w. Lekarze arabscy nazywają go feniksem swego wieku; a teologowie chrześciańscy XVII, XVIII ww., którzy dokonali przekładu jego dzieł na język łaciński, pełni są uwielbienia dla jego przenikliwości. Podkreśla on przedewszystkiem wpływ powietrra i wody na losy zdrowia ludzkiego. „Spostrzeżono, mówi w *Tractatus de regimine sanitatis*, że pod wpływem zepsutego powietrza niektóre czynności organizmu ludzkiego słabną. Powietrze miast ma się w stosunku do powietrza pól i równin, jak brudna woda do czystej i słodkiej." Albo w innem miejscu: „Jeżeli choroba jest większą niż siły żywotne chorego, to medycyna na nic się nie przyda; jeżeli on jest silniejszy, to nie potrzebuje lekarza, sama bowiem natura uzdrowi go; tylko kiedy te dwie walczące siły będą sobie równe, otwiera się pole dla lekarza." Ideał życia sprowadza się do następującego zdania: „Kto wiele pracuje i dobrze umęcza ciało swoje, nie je aż do zupełnego nasycenia się, nigdy nie zachoruje, a przeciwnie posiadać będzie siły Herkulesa, chociaż nawet źle jadać będzie." Maimonides nie pozwala mieszkać w gminie, która nie posiada lekarza, chirurga, kąpieli, wody, synagogi, pedagoga, pisarza, jałmużnika, urzędu, mającego prawo zamykać przestępców do więzienia.

Przez cztery wieki (XII—XVI) Maimonides był wyrocznią dla swoich współwyznawców. Historyczne warunki życia, krępujące żydów ówczesnych coraz bardziej, wywoływały reakcyę śród rabinów przeciwko wszystkim, przybywającym z zewnątrz prądom i ideom. Maimonides wydawał się zbyt liberalnym i Karo na nowo, tylko w surowszej formie, zebrał przepisy hygieniczne. Nadał im charakter ściśle religijny, czyli skazał na powolne, ale stałe zamieranie rozwoju cywilizacyjnego żydów, na bezwzględne kostnienie pomysłów i poglądów, kryjących w sobie zarodki życia. Tutaj przerywa się praca hygienistów żydowskich. Tego, co dali

*) Niedawno ludność jednego kantonu w Szwajcaryi, drogą głosowania powszechnego, zabroniła rytualnej rzezi żydowskiej. W nauce zdania zostają podzielone. Kilku znakomitych hygienistów angielskich poleciło stosować metodę rzeźników żydowskich. Niedawno lekarz ruski, d-r Dembo, prowadził nad tym przedmiotem specyalne studya w Berlinie pod okiem Virchowa i doszedł do wniosków, stwierdzających słuszność talmudystów.

grecy i rzymianie, rozważać nie będziemy, gdyż sprawy te ludziom ukształconym bardziej są znane.

Praca p. Nossiga czyni na nas wrażenie dodatnie. Pragnęlibyśmy szczerze, ażeby autor obdarzył nią także naszych czytelników, oczywiście w formie skróconej. Nie możemy tylko podzielać zachwytu jego, gdy przypomnimy, jak piękne przepisy hygieniczne wprowadzane bywały w życie. P. N. cytuje słowa Tacyta, że „ludność żydowska jest zdrowa i silna,“ dlaczegóż jednak zapomniał o satyrze rzymskiej? U kronikarzy średniowiecznych wszędzie znajdziemy ten sam pogląd, który w ustach posła ziemi kujawskiej brzmiał: „cuchnąca, brudna zgraja“ (fex gentis sordida — tak tłomaczy Pawiński, *Rządy sejmikowe*, I, 198 i IV, 126). A cóż mówią czasy dzisiejsze?..

S. Posner.

ZJAZD SOCYOLOGÓW.

Bardzo wygórowane pojęcie o zjazdach naukowych miewa zwykły profan. Mniema, że są one retortą, w której uczeni przetrawiają swoje teorye, zanim je puszczą w świat, i w której rodzą się wielkie myśli i czyny. W rzeczywistości zaś świątynie te bynajmniej nie są tak wielkie i okazałe. Wstęp do nich jest bardzo łatwy, karyera z chęcią reklamy zapełnia nieraz salę miernotami, natomiast wielkie powagi stoją zdaleka, duma mandaryńska nie pozwala im mieszać się z „motłochem.“ Przedewszystkiem zaś zjazdy straciły swoje znaczenie z chwilą, kiedy różne czasopisma specyalne ofiarowały swoją gościnność dla każdej najdrobniejszej rozprawki i przyczyniły się do szybkiego rozpowszechniania wiadomości o nowych poglądach. Współzawodnictwo wzajemne i obawa, że ktoś może go ubiedz, skłaniają badacza do pośpiesznego zawiadomienia innych o swojem odkryciu. Meetingi międzynarodowe mają jedną tylko zasługę, mianowicie zbliżają do siebie specyalistów, pracujących na jednem polu, co naturalnie jest z bardzo wielkim pożytkiem dla nauki.

Kilka tych uwag nasunął nam pierwszy zjazd międzynarodowy socyologów, który przed kilku dniami obradował w Paryżu. We Francyi krzątają się żwawo nad tą gałęzią wiedzy, chociaż dotychczas nie widać zbyt wielkich rezultatów. Naprzód w przeszłym roku ukazało się stałe czasopismo, poświęcone temu przedmiotowi: *Revue internationale de Sociologie*, redagowane przez Reneusza Wormsa. Następnie zaprojektowano założenie instytutu socyologicznego na wzór istniejących w zakresie statystyki i prawa międzynarodowego. Ale myśl wypaczono zaraz na wstępie, bo przyodziano ją w szatę wyłączności cechowej. Nie wiemy, jakiemi pobudkami kierowali się założyciele, dość że ograniczyli liczbę członków; ma ich być tylko stu, stowarzyszonych zaś dwa razy więcej. Nareszcie w ustawie tego instytutu powiedziano, że uczestnicy mają rok rocznie zjeżdżać się i obradować nad różnemi zagadnieniami socyologicznemi. Otóż przed tygodniem zrobiono pierwszą w tej mierze próbę. Wypadła ona nieszczególnie, ba nawet inaczej być nie mogło. Ten i ów pośpieszył, ażeby wyłożyć ideje, które niejednokrotnie już wupowiedział w swoich pracach. A zatem profesor Gumplowicz powtórzył rozdział z socyologii, Tarde rozprawiał o roli „faktu,“ którą w ogólnych zarysach wyłożył przed laty w swojem *Naśladownictwie*, Nowików z Odesy poprostu streścił wątki zasadnicze świeżo wydanej swojej książki w języku francuskim, prof. M. Kowalewskij miał odczyt o Rosyi przedhistorycznej. Do tego należy dodać parę innych nazwisk, z których większość po raz pierwszy obija się o nasze uszy. Kto pracuje nad daną gałęzią wiedzy, ten oddawna wiedział o tem wszystkiem, co zostało wypowiedziane na pierwszym zjeździe. Przytem odczyty nie wiązały się z sobą treścią i nawet nie zawsze odpowiadały naturze zgromadzenia. Najnieodpowiedniejszą zaś była mowa sir Jana Lubbocka. Myśliciel ten palnął bardzo dzielną mowę, w której energicznie wypowiedział się przeciwko militaryzmowi, potrącił o wychowanie i wiele innych spraw bieżących. Nadaje się ona przewybornie do otwarcia meetingu politycznego.

Członkowie, nauczeni tegorocznem doświadczeniem, z góry nakreślili program zjazdu przyszłego. Postanowili, że na porządku dziennym znajdą się tylko następujące zagadnienia (każde z nich posiada wyznaczonego referenta): 1) Czem jest socyologia oraz różne jej definicye? (referent R. Worms). 2) Kwestya prawa macierzyńskiego (Westermarck, profesor w Helsingforsie). 3) Przejście od własności kolektywnej do indywidualnej (prof. M. Kowalewskij). 4) Czy jakieś prawo rządzi ewolucyą ustrojów politycznych? (F. Toennis, prof. w Kielu). 5) Zbrodnia ze stanowiska społecznego (G. Tarde). Mamy nadzieję, że rezultaty zjazdu przyszłego będą obfitsze.

LIBERUM VETO.

Walka o byt jako czynnik demoralizujący.—Każdy chciałby z niej się wydobyć.—Jej wpływ na prasę.—Redaktor Lynge, jego zręczność i metoda.—Rzeczy małe a wielkie wudług jego miary. — Jak się świat przewraca do góry nogami w głowie jego uczniów. — Główna szkoda.—Jubileusz Karola Jurkiewicza.—Jego zasługi i charakter.— Giną czy nie giną?

Walka o byt dała ludzkości wielką siłę i wielką demoralizacyę. Czy pierwsza przeważa w swej wartości drugą? Zapewne. Przypuszczam nawet, że gdyby przed wiekami zapytano ród człowieczy: co wolisz, czy być gromadą cnotliwych małp, czy ucywilizowanych szachrajów — wybrałby tę ostatnią postać istnienia. Ile razy wszakże on dziś zastanawia się nad sobą poważnie, wzdycha ze smutkiem: czemuż mi losy nie pozwoliły być potężnym i uczciwym! Ale złego naprawić nie może i co najwyżej spodziewa się, że kiedyś, kiedyś zdoła pogodzić cnotę z rozumem. Dzisiejszy szewc, odpocząwszy w niedzielę po tygodniowej pracy, zrobiwszy rachunek swego sumienia i kasy, musi tak marzyć:

— Alboż ja bym nie wolał dawać podeszew z dobrej i prawdziwej skóry, niż przyszywać tekturę? Alboż ja bym nie wolał wyrabiać mocnych butów i obliczać je rzetelnie? Ale cóż pocznę, kiedy inni fuszerują i obniżają ceny! Gdybym chciał być sprawiedliwym, wyszedłbym na dziady i nie miał co w gębę włożyć.

Tak samo usprawiedliwia się przed sobą restaurator:

— Boże kochany, a cóż by mi szkodziło używać do potraw masła zamiast margaryny! Ale wtedy musiałbym brać za obiad pół rubla, gdy inni biorą 30 kopiejek. Niech powiesza tego, kto sam jeden okpiwa! Ale jeżeli wszyscy, to i ja!

Tym ludziom, a przynajmniej wielu z nich można wierzyć. Trzeba się urodzić kaleką moralnym, ażeby oszukiwać bez celu i powodu, dla samej sztuki. Znaczna większość ludzi czyni to dla interesu, dla wytrzymania walki o byt, którą każdy toczyć musi aż do ostatniego tchnienia. Im bardziej zaś ona uprzytomnia się i zaostrza, tem bardziej człowiek w niej nikczemnieje. Dlatego to np. rolnicy, którzy mniej czują i dostrzegają te zapasy, są moralniejsi od kupców lub adwokatów.

Skoro zaś zakaźny wpływ tej walki ogarnął wszystkie warstwy społeczne, to musieli mu uledz również... redaktorzy. Rzeczywiście porównawszy typ tych ludzi w dawniejszych okazach z obecnym, widzimy olbrzymią różnicę i postęp w kierunku przebiegłej spekulacyi. Niegdyś był to sobie mniej więcej skrzętny zbieracz i rozprzestrzeniacz nowin albo też pisarz, dostawca pokarmu naukowego i artystycznego. A dziś! Dziś utrzymuje się jeszcze ta dawna postać w wydawnictwach poważnych, ale na górnych falach życia pływa *genus* Bennet, kierownik gazety codziennej. Głośny powieściopisarz norweski, autor znanego czytelnikom naszym „Głodu“, Knut Hamsun nakreślił wizerunek „Redaktora Lynge,“ któremu warto przypatrzeć się w świeżo wydanym przekładzie polskim. Hamsun ma wyobraźnię tak ubogą, a środki artystyczne tak skromne, że wątpię, czy on potrafiłby cokolwiek zmyśleć. Jest to—jak większość współczesnych powieściopisarzów i krytyków—sumienny, drobiazgowy protokólista życia. Jego więc bohater ma wszystkie cechy człowieka żywego. A jakże wygląda? Nie ma on żadnych zasad i przekonań, ma tylko nadzwyczajny spryt. Siedzi nad brzegiem potoku spraw codziennych i czatuje na taką, która nadaje się do „rozdęcia,“ do wydobycia z niej wrzawy, zwracającej powszechną uwagę. Ani ja, ani wy nie wiecie, po czem taką sprawę poznać można. Omylilibyśmy się sądząc, że jest nią każda, która posiada jakąś polityczną, społeczną, naukową lub artystyczną ważność. Tak np. zdawałoby się, że najdonioślejszą kwestyą obecnej chwili jest nowowynaleziony środek przeciw błonicy. Bo czyż to nie stanowi donioslego wypadku dla ludzkości, że wreszcie nauka zdobyła broń do skutecznej walki ze straszną chorobą, która sprawia prawdziwe rzezie, zwłaszcza między dziećmi? To też radosna wieść obiegła szybko cały świat ucywilizowany, zaczęto co prędzej składać ofiary i wznosić specyalne instytuty dla wytwarzania surowicy i dokonywania szczepień, słowem w ciemności życia ludzkiego wpadł nowy, światłem wielkich nadziei jaśniejący promień. Przypuszczalibyśmy, że to odkrycie da nowoczesnemu redaktorowi bogaty materyał publicystyczny. Tymczasem Lynge roześmiał się z tej niemowlęcej naiwności. On w kronice swego dziennika drobnym drukiem ogłosi wiadomość o leczeniu błonicy, ale to nie jest koń, na którym on jeździ i wykonywa sztuki akrobatyczne. Pewnego dnia—opowiada Hamsun—przybył do redakcyi wieśniak ze skargą, że jego córeczkę zniepráwił miejscowy pastor. Oto dopiero gratka dla redaktora! Zna jej wartość również wieśniak, gdyż nie poprzestaje na obietnicy, że jego krzywda będzie ogłoszoną, lecz za swe doniesienie żąda zapłaty, targuje się o jej wysokość i dopiero otrzymawszy honoraryum feldmarszałka reporterów—składa dowody i odchodzi. Trzeba wiedzieć, jak tym przysmakiem dziennikarskim rozkoszuje się redaktor Lynge, jak uśmiecha się do wrażenia, które sprawi jego artykuł i do jego następstw dla pastora, jak w przeddzień wyjścia z pod prasy numeru uchyla tylko rąbek tajemnicy w rozmowie z uwielbianą kobietą, ażeby dla rzuconego pioruna zachować całą siłę i urok niespodzianki. Ostra woń skandalu ma dla jego nosa najcudniejszy zapach kwiecia. Wchłaniając ją, mdleje z upojenia i zdumiewa się, gdy ktoś zrażony tym odorem, odsyła mu gazetę i nie chce jej dalej prenumerować.

Jeżeli już nie skandal, to przynajmniej coś, co ma jego krzykliwość. Lynge jest rzecznikiem partyi liberalnej, ale nagle przychodzi mu myśl obrony jednego z dog-

matów politycznych stronnictwa konserwatywnego. Rozumie się, powstanie krzyk, który przecie można uciszyć oświadczeniem, że się dało swobodę słowa przeciwnikom, zachowując własne zdanie, albo też pozostać przy zmienionej chorągiewce, gdy ona ściągnie liczny zastęp abonentów. Ale przedewszystkiem niech brzmi wrzawa, niech mówią, niech się spierają, gdyż przymiot niewiasty Peryklesowej, o której milczą, jest śmiercią dla gazety. Niech ją chwalą lub ganią, niech raczej ją opluwają, aby tylko nie milczeli. Tego jednego redaktor nowoczesny znieść nie może. On by zgodził się na ściśle przestrzeganie w swem piśmie pewnych zasad, pewnego programu, ale pod warunkiem, że ten program, te zasady będą sprawiały hałas. W przeciwnym razie woli mieć „swobodną rękę,“ być „bezstronnym,“ otwierać łamy gazety do „wymiany zdań,“ właściwie zaś wynajmować ją wszelkim namiętnościom.

Jeżeli zaczniesz patrzeć na życie okiem filozofa lub poety, nigdy nie zgadniesz, co w niem dla Lyngego ma szczególną wartość. Możesz np. do nieskończoności daremnie biedzić się nad pytaniem: dlaczego on drukuje w dzienniku politycznym lichy artykuł o jagodach? Nigdy byś się nie domyślił: oto dlatego, że autor tego artykułu nosi sławne, historyczne nazwisko: *Ihlen*, coś w rodzaju naszego ks. Lubomirskiego, którego najgorszą pracę o jagodach pomieściłby również każdy „sprytny“ redaktor polski. Takie nazwisko wywołuje zawsze krzyk, a więc dopomaga głównemu celowi. Rzecz naturalna, że ów typ „zręcznego redaktora“ zmienia się, występuje w jaskrawszych lub łagodniejszych rysach, zależnie od warunków. Tam jest bezczelnie zuchwały, tu skromnie przebiegły, wszędzie jednak usiłuje około swego organu wywołać wrzawę i wszędzie łowi w mętnej wodzie małe rybki, które rozdyma do miary wielorybów. I to może jest największa szkoda, jaką on wyrządza społeczeństwom. Nie ogłaszanie skandalów, nie kameleonowe przemiany, nie dokonywanie wolt z zasadami, nie gra w niespodzianki, nie blaga, nie dogadzanie złym instynktom człowieka, nie to wszystko stanowi główną winę gatunku Lyngów, ale ciągłe fałszowanie rzeczywistej wartości ludzi i rzeczy. Oni bowiem jednym i drugim nadają całkiem dowolne znaczenie według wymagań interesu. Kto całą swą wiedzę czerpie z ich dzienników — a czerpią ją miliony — ten przewraca sobie w głowie świat do góry nogami, układa jego stosunki opacznie i zamiast prawdziwego, widzi urojony, skłamany. Sądzi, że Patti jest istotą daleko genialniejszą, niż Darwin, że „premiera“ Sardou wywiera większy wpływ na losy świata, niż otworzenie instytutu bakteryologicznego, że Eusapia głębsze prawdy odkrywa nauce, niż Helmholtz, że amatorskie przedstawienia na prowincyi posiadają donioślejsze znaczenie, niż uprawa nasion buraków itd. Każdemu z nas zdarzało się być w jakimś zakątku i ze zdumieniem wysłuchać, co tam ludzi najbardziej zajmuje — to, na co my nawet nie zwracaliśmy uwagi. Jest to skutek czytania artykułów... Lyngego.

Powie ktoś, że Lynge nie jest typem powszechnym, że kierownicy opinii publicznej nie są wyzuci z wszelkich skrupułów. Prawda, ale tacy giną w walce o byt lub stają nad grobem głodni, obdarci, poranieni... Zwycięzcy są zawsze podobni do Benneta lub Lyngego.

Zeszłego tygodnia obchodzono 50-letni jubileusz człowieka, który w walce o byt przyjmował słaby udział, a przynajmniej nie szedł do celu, torując sobie drogę kułakami i depcząc po tych, którzy na niej upadli. Karol Jurkiewicz jest postacią bardzo czystą i jednostką zasłużoną. Nie zbogacił on nauki żadnem wielkiem dziełem, ale zbogacił społeczeństwo sumienną i wytrwałą pracą. Nie odkrywając sam źródeł wiedzy, czerpał z najlepszych umiejętną ręką i roznosił ją jako nauczyciel, jako profesor b. Szkoły Głównej i uniwersytetu warszawskiego, jako autor wielu rozpraw i artykułów przyrodniczych, jako tłomacz wielu dzieł, jako popularyzator w najlepszym stylu. Z tą pracą pedagogiczną i naukową połączył zacne trudy w dziedzinie dobroczynności, której był i jest jednym z najszczerszych orędowników. Cokolwiek o nim przedostaje się po za koło bliższych znajomych, wszystko świadczy o umyśle poważnym i mocnym, o charakterze prawym i niezłomnym. Mimo sędziwego wieku, nie odpoczywa: uprawia dalej niwę naukową, przewodniczy Towarzystwu ogrodniczemu, jest bardzo ważnym organem Towarzystwa dobroczynności i z wyjątkowem zamiłowaniem hoduje rzadkie rośliny pokojowe, które posiada podobno w jednym z najpiękniejszych doborów. Pod natchnieniem uznania dla wielu przymiotów i zasług uroczystość jubileuszowa odbyła się z niezwykłą serdecznością. Może to jest uczucie niesprawiedliwe, ale przy wszystkich obchodach tego rodzaju zdaje nam się, że ten gatunek ludzi schodzi ze świata bezpotomnie, wymiera, ginie, ustępując innym, które wychodzą do walki o byt z mocniejszą pięścią, ale z twardszem sercem. Stąd pewne rozrzewnienie w czczeniu ich pamiątek i składaniu im hołdów. Trzeba jednak odganiać od siebie taką smutną myśl i wierzyć, że jest to ród płodny.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Pisarze gminni. Ważną sprawę poruszył korespondent warszawski *Nowego Wrem.*: położenia pracowników instytucyi, które w Królestwie Polskiem stanowią ustrój, obejmujący wszystkie stany. Skutkiem tego na wójtów gminnych mogą być wybierani zarówno obywatele ziemscy, jak i włościanie. Przeważnie jednak stanowiska owe zajmują jednostki z ludu, częstokroć wcale niepiśmienne. To też w gminach nie wójci rządzą, lecz pisarze, których warunki przy nawale pracy nie świetne. Według prawa, są oni najzupełniej zależni od wójtów i pobierają nie wielkie wynagrodzenie, przeciętnie około 15 rs. miesięcznie, przy tem niemal wszędzie muszą własnym kosztem utrzymywać pomocników, bo jeden człowiek w żaden sposób nie może podołać zajęciom. Z tego względu posady pisarzy gminnych zajmują częstokroć ludzie niedostatecznie przygotowani w tej mierze i nie przedstawiający rękojmi moralnej. Otóż, zdaniem korespondenta, wobec rozległych pełnomocnictw, przysługujących gminom tutejszym po wsiach i osadach, jako jednostkom samorządu miejscowego, tudzież ze względu, że pisarze ci, dzięki swemu położeniu, wywierają wpływ na sprawy wiejskie, byłoby rzeczą wielce pożądaną podniesienie ich poziomu moralnego i umysłowego. Właśnie w ostatnich czasach kwestyą tą żywo się zajęły władze tutejsze. Skutkiem starań p. gubernatora warszawskiego, roztrząsała ją niedawno komisya gubernialna włościańska i uznała za konieczne podnieść normę wynagrodzenia pisarzy gminnych, aby do obejmowania tych urzędów zachęcać ludzi inteligentnych, na większe zaufanie zasługujących. Sprawa powyższa wywołała uwagi *Now. Wrem.*, które na zaznaczenie zasługują:

„Kwestya, podniesiona przez władze administracyjne gub. Królestwa Polskiego, nie ma bynajmniej tylko miejscowego charakteru; któż bo nie wie tego, jakie znaczenie mają na wsi pisarze gminni i jak dużo osobisty ich skład pozostawia do życzenia? Dla kogóż to jest tajemnicą, że rekrutują się oni z odpadków pseudointeligencyi, ludzi niedouczonych i wykolejonych, którzy nie wiedzieli po prostu co ze sobą uczynić i nasiąkłszy duchem kancelaryjnym i rutyną pisarską wyrastają nagle na faktycznych piastunów juryzdykcyi gminnej, oraz całego zarządu gminnego. Są to znane oddawna rzeczy, zdaniem więc naszem wielki czas pomyśleć o tem, aby dać gminie istotnego sekretarza zarządu gminnego, takiego, na którego umysłowych i moralnych przymiotach polegać można. Chcąc jednak otrzymać lepszy zastęp ludzi na urzędy pisarzy gminnych, trzeba nieodzownie unormować ich stanowisko służbowe i tą lub inną drogą podnieść ich uposażenie. Pisarz gminny jest z jednej strony osobą nie posiadającą żadnych praw służbowych, z drugiej zaś jest odpowiedzialny za swe czyny, jako urzędnik. Faktycznie mianuje go i usuwa urzędnik, spełniający kontrolę nad samorządem włościańskim, to jest naczelnik ziemski, komisarz lub urzędnik do spraw włościańskich. Nienormalny stosunek pisarzy do wszystkich tych zwierzchników postawił ich w takich poniżających warunkach, że „ludzie inteligentniejsi i zasługujący na zaufanie“ nie przyjmą tej posady. To samo stosuje się do materyalnego położenia pisarza; im niższe uposażenie wydzieli mu zebranie gminne, tem bardziej jest on zmuszony uciekać się do mętnego źródła wszelkich nielegalnych dochodów, na które administracya powiatowa *bon gré, mal gré*, patrzy przez palce. W niektórych guberniach, np. charkowskiej, poruszono na zjazdach powiatowych myśl określenia minimalnej normy uposażenia dla pisarzy gminnych; są to chwalebne usiłowania, lecz należy pamiętać, że człowiek nie samym chlebem żyje i bez względu na wszelkie podwyżki w pensyi „inteligentne i zasługujące na zaufanie“ osoby nie zechcą garnąć się do tych urzędów, dopóki nie będzie unormowane stanowisko służbowe pisarza gminnego.“

Sosnowice. Według doniesień urzędowych, p. minister oświaty d. 30 września r. b. pozwolił zamknąć miejscową 3-klasową szkołę miejską, założoną z funduszów fabrykanta Henryka Dietla, natomiast otworzyć realną na prawach szkół rządowych, ze ścisłem zachowaniem etatu i ustawy z d. 21 czerwca 1888 r., pod następującymi, zaprojektowanymi przez p. D. warunkami: pierwsza połowa sumy etatowej ofiarowaną będzie przez niego, druga zaś pokryta zostanie z opłat za wpis. Gdyby zaś ta ostatnia nie wyniosła połowy etatu, wówczas p. Diettel obowiązuje się pokryć niedobór; jeżeli zaś opłata wpisowego da przewyżkę, wówczas suma ta wnoszona będzie do warszawskiego kantoru Banku państwa na tworzenie specyalnego kapitału szkoły. P. D. przeznaczył dla zakładu ten budynek, który wznosi obecnie dla szkoły miejskiej i elementarnej. W gmachu tym, oddanym na własność ministeryum oświaty, mieścić się będzie, oprócz szkoły realnej, jeszcze elementarna. Dla zapewnienia bytu szkole realnej, p. D. sporządza akt hypoteczny z terminem 10-letnim na sumę ogólną 300,000 rs. — Projektowane rozszerzenie stacyi kolei Dąbrowskiej przed zimą nie przyjdzie do skutku, skąd interesowani wnoszą, że ruch zbożowy nie dojdzie do takich rozmiarów, jak w latach poprzednich, kiedy Szląsk pruski był przeważnie zbożem ruskiem zasilany.

Kamieniec Podolski. Otwarto we wrześniu oddział Rybnica-Bielcy odnogi Nowosielickiej kolei Południowo-zachodnich. Dotyka ona do głównej linnii Odesa-Brześć-Grajew w Słobodce i idzie bez przerwy do Nowosielicy. W Oknicy łączy się z częścią mohylewską, która także dotyka do linii głównej w Zmierzynce. Nowe rozgałęzienie niewątpliwie wpłynie na rozwój handlu, gdyż dotychczas ta część kraju była najbardziej upośledzona pod względem komunikacyi.— Mieszkańców gub. podolskiej nawiedziła straszna klęska. Pojawiły się w ogromnej masie myszy polne i poczyniły spustoszenia w stertach zboża, stojących po parę lat. Niektóre z nich pozapadały się zupełnie; tu i owdzie z młocarni wychodziła słoma zakrwawiona, gdyż w snopach ukryło się mnóstwo tych drobnych szkodników. Znaczne spustoszenia poczyniły one także w ko-

niczynie. Obok tej plagi wielką klęską lata ubiegłego była także gąsienica. Spustoszyła ona ogrody owocowe i warzywne.

Ryga. Ministeryum oświaty poruszyło ważną sprawę przekształcenia politechniki ryzkiej w taki sposób, ażeby studenci i nauczyciele mogli posiąść prawa, przysługujące w innych wyższych zakładach naukowych. W tym celu stworzono osobną komisyę, która opracowała główniejsze zasady reformy. Przedewszystkiem uznano za konieczne podniesienie do wyznaczonej wysokości wydziałów: mechanicznego, chemicznego, inżenierskiego, architektonicznego i rolnego.

Odesa. Ostatni spis jednodniowy wykazał następujący stosunek mieszkańców miasta wedle narodowości i wyznania: Prawosławnych (mówiących po rusku) i sekciarzy 188,082, żydów (według wyznania) 112,235, polaków (język polski i wyznanie katolickie) 13,462, niemców różnych wyznań 8,897, greków 5,272, francuzów różnych wyznań 1,129. Reszta 12,000 należy do różnych narodowości. Ogółem Odesa liczy mieszkańców 341,067. Cyfry wykazują, że miasto tak szybko i znacznie wyrosło tylko dzięki żywiołowi napływowemu. Przypływ w ostatniem pięcioleciu podwoił się w stosunku do poprzedniego.

Moskwa. Przyrodnicy, mieszkający w tem mieście, już dzisiaj żywo są zainteresowani zjazdem pracowników z tej dziedziny, zapowiedzianym na r. 1896. Pierwotnie zamierzano urządzić go w Kijowie, ostatecznie jednak wybrano Niżnij-Nowgorod, ze względu na to, iż tam się odbędzie wystawa wszechrosyjska, na której można będzie zobaczyć wiele rzeczy pouczających, podczas gdy w Kijowie zjazd przyrodników wypadłby niemal jednocześnie ze zjazdem Towarzystwa lekarzy ku pamięci Pirogowa.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PIERWSZE TOWARZYSTWO KOLEI POMOCNICZYCH.

Ostatnie dziesięciolecie w dziejach rozwoju komunikacyi zajmie wybitne miejsce zarówno pod względem udoskonaleń technicznych, jak wzrostu sieci kolejowej w całem państwie. Prawie 60 lat istnienia dróg żelaznych w Rosyi ma już poważną historyę, a ktoby chciał się zagłębić w szczegóły budowy, eksploatacyi i wogóle urządzeń całej tej olbrzymiej machineryi, obejmującej rozległe obszary kilkudziesięciu ramionami, znalazłby tam mnóstwo ciekawych danych, wskazujących stały postęp i doświadczenie w tej mierze. Dość paru przykładów: zestawienie kosztów budowy z różnych epok. Wiorsta pierwszej w państwie kolei Carsko-Sielskiej (rozpoczętej w marcu r. 1836) kosztowała około 114 tysięcy rubli. Koszt budowy paru następnych linii nie przewyższał 100 tys. rs. za wiorstę. Otwarta zaś w r. 1866 kolej Moskiewsko-Kurska kosztowała już tylko po 45 tysięcy wiorsta, przy tem roboty odznaczały się trwałością i mocą. Wreszcie Towarzystwo kapitalistów ruskich wybudowało kolej Landwarowsko-Romeńską po 24,712 rs. za wiorstę. Olbrzymi nakład pierwotnie odstraszał najśmielszych kapitalistów; przybysze zaś, korzystając z braku doświadczenia, dochodzili do bezczelności w wyzyskiwaniu przyjaznych dla siebie warunków; tak np. inżenierowie francuscy policzyli akcyonaryuszom 32 miliony rs. na administracyę i sporządzenie projektów budowy dwóch kolei: Petersbursko-Warszawskiej i Moskiewsko-Niżnonowgorodzkiej.

W miarę postępu techniki, osiągnięto oszczędności nie tylko w kosztach budowy dróg żelaznych, lecz i w czasie. Pierwszą kolej Carko-Sielską, wynoszącą zaledwie 25 wiorst długości, budowano *dwa lata* Riazańsko - Kozłowską, otwartą w roku 1866, 197 wiorst robiono już tylko niespełna półtora roku. Dziś okres budowy olbrzymiej kolei syberyjskiej na przestrzeni 7,490 wiorst wynosić ma ogółem tylko lat *sześć*, pomimo niezmiernie trudnych warunków technicznych.

Pierwotnie polityka kolejowa nie działała jasno i świadomie; wydawano koncesye różnym przedsiębiorcom i budowano linie dorywczo, bez uwzględnienia warunków ekonomicznych całego państwa i styczności z zagranicą. To też ślady tych omyłek pozostały i obecnie. Nie widzimy żadnej drogi głównej, którаby możliwie najprostszą linią łączyła ze środkiem lub pobrzeżem państwa główne ogniska handlu: porty morza Czarnego i Baltyckiego. Wyjątek stanowi droga Mikołajewska między Moskwą a Petersburgiem (626 wiorst), pomimo dążności inżenierów do przeprowadzenia jej przez Nowogród. Gdyby się stało zadość ich wskazówkom, przybyłoby 70 wiorst, na których obecnie pasażerowie i kupcy z punktów krańcowych oszczędzają rocznie ogółem pięć milionów rubli. Pomimo dorywczości i braku obejmowania przez długi czas szerszych potrzeb ogólnych, gospodarka kolejowa silnie się rozwinęła, a długość sieci dróg żelaznych w całem państwie wynosi dzisiaj już niespełna 31,000 wiorst. Jednakże suma ta, na pozór imponująca, nie odpowiada nawet *w połowie* potrzebom ludności. Dla połączenia bowiem głównych punktów w całej Rosyi należy jeszcze zbudować 30,000 wiorst kolei szerokotorowych i wydać na to przeszło miliard rubli.

Ale obok głównych, przemysł i handel pożąda dróg pomocniczych, których długość ogólna wyniosłaby 30—40 tysięcy wiorst. Na tę ostatnią kategoryę komunikacyi zwrócono baczną uwagę od lat paru i w rezultacie zawiązało się prywatne Towarzystwo budowy dróg pomocniczych, o którem w *Prawdzie* wzmiankowaliśmy, zdaje się przed dwoma laty. Od tego czasu nie dawało ono znaków życia. Byliśmy więc pewni, że jak wiele innych stowarzyszeń, nie dojdzie do skutku z powodu braku kapitałów, energii i zaufania. Dopiero niedawno w roku bieżącym ujawniło ono swoją działalność, dość szeroką i poważną. Przedewszystkiem musimy w głównych zarysach zaznaczyć program owego przedsiębiorstwa spółkowego. Założycielami jego są dwaj kapitaliści i pięciu inżenierów, na których czele stoją: inż. A. Jegorowicz, Struwe, inż. komunik. B. Jałowiecki. Kapitał zakładowy wynosi 3,000,000 rubli i tworzy się z niegwarantowanych przez rząd 10-ciu tysięcy akcyj po 100 rs., ogółem na sumę 1,000,000 rs. tudzież obligacyj na 2,000,000 rs. Towarzystwo powstało dla budowy i eksploatacyi dróg pomocniczych szeroko i wązkotorowych na użytek prywatny i publiczny, przyczem ma ono prawo: *a*) wybudowane koleje własnym kosztem oddawać w dzierżawę, sprzedawać instytucyom rządowym, ziemskim, miejskim, wszelkim towarzystwom i osobom prywatnym; *b*) z polecenia osób prywatnych i rozmaitych instytucyj może za pewną opłatą czynić badania, opracowywać projekty techniczne, wreszcie budować i eksploatować drogi pomocnicze wszelkich typów; *c*) urządzać fabryki i składy dla wyrobu i sprzedaży wszelkich przedmiotów, potrzebnych do budowy linij stałych i przenośnych oraz do taboru ruchomego; *d*) po wyjednaniu upoważnienia rządu, Towarzystwo może otwierać w różnych miastach i miejscowościach państwa swoje agentury i kantory, nabywać, urządzać lub dzierżawić: doki, parostatki, lokomotywy, wagony, przystanie, warsztaty okrętowe, przyrządy mechaniczne dla naładowywania i wyładowywania towarów, fabryki mechaniczne wraz z kupnem niezbędnych do tego gruntów; *e*) wchodzić w ugodę z odpowiedniemi instytucyami i osobami prywatnemi w sprawach: wydawania Towarzystwu jednorazowych lub stałych zapomóg, bezpłatnego udzielania gruntów, niezbędnych dla budowania dróg pomocniczych, wreszcie — przywileju dla przewozu co rok pewnej ilości towarów kolejami przez Towarzystwo wybudowanemi; *f*) w końcu ma ono prawo odbywać studya dla budowy dróg podjazdowych, czyli pomocniczych, na wszystkich obszarach państwa; może w interesie wszelkich dostawców towarowych wchodzić w układy z kolejami żelaznemi i towarzystwami żeglugi o ułatwienie komunikacyi bezpośredniej, jako też brać na siebie dostawę ładunków do miejsc, położonych w pobliżu dróg podjazdowych, które samo eksploatuje.

Widzimy stąd, jak daleco jest rozległa działalność tej instytucyi i jak różnorodne i ponętne pole ma ona do pracy. Przy tym szerokim programie rząd również przychodzi z pomocą Towarzystwu, tj. oddaje mu bezpłatnie pod budowę kolei grunty nieuprawne i niepokryte lasami, pozwala czerpać w swych dobrach kamień, piasek, glinę, wapno itd. Natomiast Towarzystwo obowiązane jest na wszystkich swoich kolejach utrzymywać wzorowy porządek, łatwą, bezpośrednią komunikacyę dla podróżnych i towarów, szczerze dbać o bezpieczeństwo i wygody publiczne. Dalej rząd zastrzega jeszcze inne warunki. Wszystkie niezbędne środki dla budowy i eksploatacyi kolei pomocniczych: szyny, tabor ruchomy itd. powinny być wyrabiane w fabrykach krajowych, z materyałów czerpanych również z bogatej natury w obrębie państwa, o ile przemysłowcy miejscowi odpowiedzą wymaganiom i żądań swych nie posuną do wysokości, przekraczającej normę cen zagranicznych wraz z opłatą celną. Wszystkie roboty tudzież eksploatacya dróg Towarzystwa podlegają kontroli ministeryum komunikacyi. W tym celu powstaje inspekcya rządowa. Wszelkie zaś sprawozdania i bilanse powinny być przesyłane do ministeryów: komunikacyi i skarbu.

Dziś już całkowicie zorganizowane Towarzystwo rozpoczęło swoją działalność przedewszystkiem na tych obszarach, gdzie jest najbardziej rozwinięty przemysł i handel, tj. w prowincyach czarnoziemnych. Utworzyło ono jedno ze swoich ognisk w Kijowie i przystąpiło do budowy stałych tudzież przenośnych kolei według systemu inżeniera meklenburskiego, Dolberga, z zastosowaniem ulepszeń, wprowadzonych przez jednego z założycieli, inż. Jałowieckiego. Za główną zasadę przedsiębiorstwo przyjęło taniość wszelkich urządzeń. Cenę wagonów otwartych dla przewozu buraków obliczono po 120 rs. sztukę. Koszt budowy wiorsty stałej drogi pomocniczej, stosownie do warunków miejscowości, ma wynosić od 3,000 do 15,000 rs. włącznie z robotami ziemnemi, stacyami, taborem ruchomym itd. Wiorsta przenośnej kolei przy wadze 400—2,400 pudów, ma kosztować wraz z taborem ruchomym 2,500—8,000 rs. Przy mniejszej wadze ($1\frac{1}{2}$ metra około dwóch pudów), koleje takie, a raczej ich materyały, łatwo dowolnie przewozić, ułożenia zaś linii może dokonać dwóch ludzi. Stosownie do zastrzeżeń, przez rząd uczynionych, wszelkie niezbędne przedmioty do budowy kolei pomocniczych w prowincyach południowo-zachodnich zamówiono w poblizkich zakładach przemysłowych; szyny wyrabia południowo-ruskie Towarzystwo dnieprzańskie metalurgiczne w cenie 1 rs. 85 kop. za pud. Wagony wyjdą z fabryki mechanicznej dawniej Donata i Lipkowskiego w Kijowie, obecnie nabytej przez Towarzystwo. Naprawy i łączenia różnych części dokonywane będą także w Kijowie i Białej

Cerkwi. W tym celu przystąpiono do budowy warsztatów mechanicznych.

Tak więc olbrzymie przedsięwzięcie rozwinęło już swoją działalność, zaczynając całkiem słusznie od prowincyj, w których ułatwienie komunikacyi należy do spraw najpilniejszych. Towarzystwo jednak nie poprzestaje na tem; wytknęło ono plan robót w innych guberniach państwa, które również rozwinie przed całkowitem ukończeniem dróg w kraju południowo-zachodnim. Możemy o tem wnosić z szerokiego i różnorodnego programu przedsiębiorstwa. Ale ogół, który z niecierpliwością oczekiwał puszczenia w ruch tej nowej, rozgałęzionej machineryi, powinien jej dopomagać odpowiedniemi wskazówkami i zgodnie z programem, ułatwiać roboty, wchodzić z nią w bliższe stosunki. To też pożądane jest gromadzenie szczegółów odpowiednich przez ludzi obeznanych z warunkami okolicy, co mogłoby posłużyć do stworzenia pewnego całokształtu potrzeb w tej mierze i do racyonalnego planu robót.

Właśnie w ostatnich czasach z różnych stron kraju dochodzą nas wieści o brakach w komunikacyi, między innemi jeden z prenumeratorów nadesłał nam garść następujących szczegółów, godnych uwagi: Mieszkańcy powiatów telszewskiego i rosieńskiego dużo cierpią z braku połączeń ze światem. Są miejsca, odległe od kolei Libawskiej o wiorst 60; z tego powodu drzewo bez ceny, pomimo że do stacyi kolejowej Bajohren na granicy pruskiej jest 35 wiorst od tych samych ognisk życia prowincyonalnego. „Otóż gdyby Towarzystwo dróg dojazdowych—pisze nasz korespondent—zechciało połączyć stacye kolei Libawskiej: Kurzawy lub Możejki ze stacyą pruską Bajohren, okolica ożywiłaby się znacznie pod względem handlowym i przemysłowym. Przy czem nie powinno być pominięte miasto powiatowe Telsze i Płungiany.“ Pierwsze podobno przed kilku laty dało już komuś na studya dla kolei 3,000 rs. Fakt ten dowodzi, że potrzeba jest rzeczywista i że mieszkańcy tamtejsi chętnie dopomogliby Towarzystwu w budowie. O znaczeniu ekonomicznem dróg pomocniczych jużeśmy pisali przy sposobności, w chwili gdy się rozeszła wieść o zawiązaniu Towarzystwa. Obecnie zaznaczyć tylko musimy, że zanim ogół mieszkańców odczuje dodatnie skutki komunikacyi, tysiące ludzi znajdą nowe źródła zarobków przy budowie tych kolei, a więc nowe przedsiębiorstwo w znacznej części spełni to zadanie, jakie jest spodziewane od organizacyi robót publicznych.

Zen. Piet.

W SEKCYI ROLNEJ.

Przerwanie drzemki i osłabienie pamięci po niej. — Smutne wnioski. — Ściany sali obrad, czyli mur chiński. — „Terminator sekcyi“ wobec „radców.“ — Pilne potrzeby, wynikające z nowej ustawy Banku państwa.

Po ciszy letniej otwarto sezon obrad, ale z takim nastrojem, jak gdyby do sali zwołano gromadkę ludzi po smacznej drzemce poobiedniej. Gawędzą oni jeszcze leniwie, słuchają mówców apatycznie. Po śnie pamięć źle działa, a najgorzej u tych, którzy najmocniej spali. Prawdopodobnie i p. Jeziorański, znużony całorocznem przewodniczeniem i zastępowaniem przewodniczących, miał niezakłócony wczas wakacyjny, bo jeszcze obecnie, na drugiem posiedzeniu, niejasno sobie przypomina, co się działo w sezonie ubiegłym. Zagadnięty bowiem przez kogoś o sprawę unormowania stosunku pomiędzy cukrowniami a plantatorami buraków, nie umiał odpowiedzieć. Jest to przedmiot ważny, który powierzono osobnej delegacyi przeszło pół roku temu. Interesowani czekali zapewne z upragnieniem sezonu jesiennego, ufni w pomoc swych rzeczników. Spotkała ich przykra niespodzianka, bo zapomniano o nich zupełnie i już nawet najgorętsze usiłowania dla naprawy złego byłyby spóźnione w roku bieżącym. Tak samo wiele spraw „pilnych,“ „niecierpiących zwłoki,“ zamarło w protokółach.

Z owoców pracy sekcyi do najdojrzalszych zaliczyć można zabiegi około analizy próbek ziemi; przysłanych do pracowni Maerckera. Obecnie zwrócono je ziemianom, o czem dowiedzieli się liczni sąsiedzi i narzekają dziś, że ich nie zawiadomiono zawczasu; byliby również posłali swoje próbki. Fakt ten nasuwa nam smutne wnioski: 1) rolnicy nie czytają gazet, bo o zawiązaniu stosunków z pracownią Maerckera były wzmianki nietylko w pismach specyalnych, lecz i we wszystkich dziennikach; 2) sekcya po za murami sali posiedzeń nie zawsze działa energicznie. Nieraz, słuchając rozpraw, mieliśmy sposobność przekonać się, że o kwestyach ważnych, rozpatrywanych np. przed miesiącem, nic zgoła nie wiedzą nawet członkowie, którzy nie byli obecni na zebraniu. Jakim więc sposobem może wiedzieć o naradach i ich rezultatach większość ziemian, nienależących do Towarzystwa przemysłu i handlu i ceniących papier drukowany, o ile służy na zawijanie lub gdy jest blankietem wekslowym albo awizacyą? Taki stan rzeczy tem jest dziwniejszy, że sekcya składa się przeważnie z ludzi światłych, umiejących ogarniać szerokie widnokręgi potrzeb. Prezydyum może powiedzieć: Ci, którzy chcą czegoś się nauczyć, skorzystać ze wskazówek i różnych wiadomości praktycznych, niech powiększą kółko sekcyi. Bardzo pięknie; ale niechże jej sternicy pobudzą do tego leniwych i obojętnych. Wreszcie trudno wymagać, ażeby cały kraj brał udział w obradach. Odłam rolny Towarzystwa pop. rusk. przem. i handlu ma liczne rozgałęzienia pod postacią różnych delegacyj; powinny one sięgać daleko, nie poprzestawać na powierzchownem „badaniu“ i kończeniu przyjętych obowiązków wraz z odczytaniem sprawozdania.

Dokonana przez p. Maerckera analiza skłoniła młodego rolnika, p. Józefa Godlewskiego, do zapoznania słuchaczy z „bielicą“ (częścią składową gruntu), badaną przez prelegenta i pracownię w Halli. Cała rzecz była traktowana w sposób naukowy, poważny i jednocześnie praktyczny. Ale ponieważ mówca jest jeszcze młodym, nieznanym, nie posiada tytułu radcy, więc go przyjęto jako terminatora: łaskawie i lekceważąco. Znaczna część obecnych podczas odczytu wyszła do przyległej sali i wszczęła tam tak głośną pogawędkę, że ci, którzy pozostali, nie wszystko mogli słyszeć. P. G., narażony następnie na dość ostry atak w sporach i na niedowierzanie niektórych oponentów, zapewne żałował swej pracy i tego, że nie jest radcą z wyraźnym znakiem zasługi: dobrą tuszą, łysiną lub siwizną. Wtedy, chociażby w nieskończenie długiem i nudnem wypracowaniu przeczytał rzecz powszechnie znaną, niezliczone razy przeżutą i nieprzynoszącą nikomu najmniejszego pożytku, wysłuchanoby go z namaszczeniem i obdarzono hucznymi oklaskami...

Jednym z punktów porządku dziennego na posiedzeniu poniedziałkowem było streszczenie ustawy Banku państwa, opatrzone uwagami krytycznemi i przeczytane przez p. Kłobukowskiego. Ciekawsze atoli, niż sam referat, były wyniki dyskusyi, które doprawadziły do poważnych wniosków. Mówca położył nacisk na trudność sprawdzania wartości zastawu ruchomego (produktów rolnych) i zaznaczył możliwość nadużywania dobrej wiary przez niesumiennych pożyczkobiorców, co oczywiście osłabiłoby zaufanie Banku i utrudniło w przyszłości korzystanie z tej formy kredytu, która jest dziś dobrodziejstwem dla ziemian. Słusznie więc p. K. żąda, aby względem takich ludzi opinia publiczna była nieubłaganą. Przy sposobności p. Kowalski podał wniosek wynagradzania pracy członków komitetu dyskontowego, którzy są wybierani z ziemian zapracowanych, częstokroć niezbyt zamożnych. Odrywanie się więc od zajęć, jazda do miasta gubernialnego i koszt stąd wynikający, przynoszą im wielki uszczerbek. A przecież czynność ich jest niezmiernie ważną; komitety dyskontowe przyznają bowiem pożyczki rolnikom, do tego zaś muszą znać doskonale warunki materyalne i wartość moralną pożyczkobierców. Tymczasem uciążliwość tych zadań wielu już zraziła, skutkiem czego tu i owdzie powołano do owych obowiązków ludzi nieodpowiednich. Otóż, zdaniem wnioskodawcy, należy tym członkom zwracać koszt, poniesiony w służbie obywatelskiej na rzecz ogółu. W jakiej zaś formie ten koszt ma być uiszczany, bliżej nie określono. Projekt wszakże znalazł przeciwników, między innymi najżarliwszego w p. Szwajcerze. Twierdzi on, że służbę tak zaszczytną i ważną należy pełnić honorowo, bo tu chodzi o dobro całego ziemiaństwa. Wszelako bardzo przekonywający jest argument p. Jeziorańzkiego, że w całej Europie tego rodzaju działacze są płatni, bo wszędzie przekonano się, że ludzie, pełniący obowiązki honorowe, nigdy nie wywiązują się z zadania tak sumiennie, jak za pewnem wynagrodzeniem. Wreszcie poruszono jeszcze jedną, również bardzo ważną kwestyę pośredników. Jak wiadomo, mogą być nimi osoby pojedyncze, zasługujące na zaufanie instytucyi kredytowej. Ale ze względu na wielką odpowiedzialność, mało kto skorzysta z tego. Otóż słuszna i praktyczna jest rada p. Kowalskiego, aby ziemianie zawiązywali stowarzyszenia w tym celu. Już dziś ukształceni mieszkańcy Kraśnika czynią starania o stowarzyszenie zaliczkowo - wkładowe, mniej więcej na wzór istniejących w Grójcu i Wiskitkach. Pożądana byłaby możliwie największa liczba takich instytucyj w całym kraju; ale do stworzenia ich potrzebny jest silny bodziec, którego ten i ów zaścianek, z małymi wyjątkami, nie znajdzie we własnem łonie. Obowiązek ów powinna wziąć na siebie sekcya rolna i działać nie za pośrednictwem „specyalnej delegacyi,“ złożonej z trzech lub czterech członków, lecz zbiorowo, tem bardziej, że uczestnicy pochodzą z różnych okolic kraju, więc każdy z nich mógłby swoją cegiełkę przyłożyć w formie zachęty sąsiadów. Zadanie tem łatwiejsze, że nie potrzeba tu robić żadnej „ankiety,“ ani opracowywać ustawy, gdyż ta jest gotowa. Należy więc tylko ją rozesłać wraz ze wskazówkami ziemianom i innym przedstawicielom inteligencyi prowincyonalnej. Dużo w tej mierze mógłby zdziałać p. Kowalski, świetnie obeznany z przedmiotem i cieszący się ogólnem poważaniem.

Drog.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników handlowych, chrześcian, w Wilnie.

Szkoły. Dr. Maryan Ursyn Zdziechowski mianowany został docentem prywatnym filozofii słowiańskiej na uniwersytecie krakowskim.

— Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło znieść egzaminy i wydawanie świadectw, upoważniających do prowadzenia robót budowlanych osobom, które nie posiadają wykształcenia specyalnego.

Koleje i komunikacye. Zatwierdzono projekt ministra komunikacyi co do utworzenia funduszu na wychowanie córek urzędników w miejscowościach zbyt oddalonych od zakładów naukowych. W tym celu napływają już składki od pracowników tudzież fabryk. Między innymi dwa największe zakłady mechaniczne: kołomeński i putiłowski, wniosły na rzecz kapitału po 30,000 rs., wszystkie zaś Towarzystwa kolejowe chętnie podjęły się pośrednictwa w zbieraniu pieniędzy na ten cel.

Zdrowie publiczne. Przeciwko egzaminom, zwłaszcza w szkołach żeńskich, odezwały się głosy na międzynarodowym zjeździe hygienicznym w Peszcie, w sekcyi VI-ej. Uznano je za nader szkodliwe, jako niezmiernie rozdrażniające i zaburzające system nerwowy. Zwrócono także uwagę, że dzieci muszą siedzieć w szkole od 24 do 30 godzin tygodniowo, co również jest szkodliwe.

— Dr. Ołtuszewski w Warszawie do swego zakładu dla jąkałów przyjmuje bezpłatnie sieroty Towarzystwa dobroczynności, a dla młodzieży szkolnej czyni ustępstwa.

— Na kongresie przyrodników i lekarzy w Wiedniu uchwalono, iż obowiązkowe wprowadzenie pisma pionowego w szkołach jest koniecznością hygieny grzbietu i oczu.

— Z rozporządzenia władz pruskich w Poznaniu drobni handlarze z Rosyi, przybywający do Prus w dni jarmarczne, nie będą przepuszczani przez granicę, aż do chwili ustania epidemii.

— Z powodu epidemii mieszkańcy Wąchocka uchwalili płacić 200 rs. rocznie lekarzowi, któryby zechciał osiedlić się w tej miejscowości.

— W krótce ma się zebrać w Wiedniu komisya międzynarodowa dla naradzenia się nad środkami, zabezpieczającymi miejscowości nadgraniczne od cholery.

— W Warszawie w ciągu miesiąca zapadło na choroby zakaźne 535 osób, zmarło 191.

— Dn. 9 b. m. w szpitalach warszawskich znajdował się tylko jeden chory na cholerę.

— Z powodu ustania cholery, skasowano szpitale tymczasowe: w Markach, Grochowie, Bielanach, Sobocie, Bolimowie, Łowiczu i Lipitowicach tudzież punkty sanitarne i ambulatorya w pow. gostyńskim i nieszawskim.

— Redakcya *Medycyny* wysłała za granicę własnym kosztem d-ra Aleksandra Żurakowskiego dla obeznania się ze sposobami używania surowicy leczniczej oraz leczenia dyfterytu za pomocą tego środka.

— W Warszawie przy ulicy Chłodnej nr. 12 otwarto nową lecznicę dla przychodzących chorych.

Wypadki. Na dworcu w Gallipoli zetknęły się pociągi (towarowy ze stojącym osobowym). Woźny telegrafu zabity, siedem osób ranionych.

— W Detroit podczas pożaru zapadł się mur; jeden z publiczzości i pięciu strażaków zginęło, 9-ciu uległo poranieniu.

— W Granadzie (rzeczpospolita Nicaragua) wysadzono w powietrze koszary. Zginęło 200 osób.

— Powódź w Styryi wyrządziła wielkie szkody.

Zmarli. Czesław Kobliński w Rzymie, artysta malarz.

— Prof. Nathan Pringsheim w Berlinie, znany przyrodnik.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Сентября 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.